

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Andrzej Szczypiorski

WYSPA CZTERECH ŁOTRÓW



W wigilię świętego Mateusza roku 1588 statek korsarski „Emma” szedł pod wszystkimi żaglami kursem na Cartagenę, gdzie kapitan Matthews zamierzał wylądować skrzynię ze skarbami. Na wysokości Tobago „Emma” osiadła na mieliźnie. W wiele lat potem znaleziono szczątki statku, a na nim szkielety całej — jak się zdawało — załogi. Ale minęło znów lat siedemdziesiąt i oto na bezludnej wysepce, oddalonej trzydzieści mil morskich od owej złowieszczej mielizny — wyprawa hiszpańska odkryła obozowisko, w którym odnaleziono szkielety czterech ludzi, a przy nich prymitywną mapę, sporządzoną na skrawku żaglowego płótna.

Rysunek zdawał się świadczyć, że zawiera szyfrowaną informację, gdzie złożono bezcenny skarb korsarza Matthews. Usiłowania Hiszpanów, zmierzające do odnalezienia skrzyni — nie przyniosły powodzenia.

Tajemnicza mapka, którą nazwano testamentem z Wyspy Czterech Łotrów, powędrowała do Europy, a jej ślad zaginął potem wśród splątanych ścieżek handlarzy antykami, sztychami i mapami dawnych epok. Skarb budził przez czas jakiś emocje poszukiwaczy przygód, zorganizowano nawet kilka nieudanych wypraw w XIX wieku, ale nieznaną miejscę ukrycia skrzyni i brak owej unikalnej mapy sprawiły, że w końcu Wyspa Czterech Łotrów przeszła do legend, opowiadanych przez starych żeglarzy,...

II

Idąc Floriańską przypomniała sobie nagle, że zostawiła parasolkę u stryja. Dzień był chmurny, duszny, zbierało się na burzę. Wróciła więc, wyrzucając sobie nieuwagę. Była nieco «zdeenerwowana, dochodziła już dwunasta, a miała tego dnia wiele drobnych, lecz kłopotliwych spraw do załatwienia. Wchodząc do ocienionej, mrocznej bramy natknęła się na wysokiego mężczyznę w popielatym garniturze, białej koszuli bez krawata, i jasnych, niemal białych półbucikach. Spojrzał na nią czujnie i wyszedł na ulicę. Wbiegła po schodach na pierwsze piętro. Drzwi do mieszkania były uchylone. Nagle doznała niemiłego wrażenia, że stało się

«oś złego. Pchnęła drzwi, które lekko skrzypnęły. Długi, mroczny korytarz. Cisza.

— Stryju! — powiedziała. Nie odezwał się. Przed kwadransem, kiedy wychodziła od niego, siedział w fotelu w swoim malutkim, zagraconym pokoju.

— Stryju! — powtórzyła głośniejszym głosem. Serce zaczęło jej bić gwałtownie.

Przeszła wzdłuż korytarza, ku uchylonym drzwiom pokoju.

Stary siedział w fotelu. Twarz miał zwróconą w stronę okna, skąd sączyło się światło, scedzone przez chmury. Wokół pomarszczonej, pożółkłej szyi człowieka zaciśnięta była nylonowa pończocha. Obok fotela, na dywanie, leżała książka, która zsunęła się z kolan. Stary człowiek ma szeroko otwarte, zdumione oczy.

Jego twarz wyraża napięcie. Więcej napięcia niż lęku. I to już było wszystko.

— Niech pani siada. Teraz zaczniemy od początku.

Usiadła na niewygodnym krześle. Pokój był mały, umeblowany brzydko i banalnie. Biurko, trzy krzesła, szafa zaopatrzona w kłódkę, regał, przy oknie na małym stoliczku — maszyna do pisania. Szyby były zakurzone, ściekał po nich deszcz cienkimi strużkami. Oficer milicji w randze porucznika miał ociężałą postać, tęgą twarz i zmęczone spojrzenie. Wyglądał na pięćdziesiąt lat i chyba nie uprawiał porannej gimnastyki. W pokoju unosił się zapach dymu i niedopałków. Po-pielniczka na biurku była pełna. W szklance zostało trochę słabej, wystygłej herbaty.

— Więc pani nazywa się Zawadowska. Imię Ewa.

— Tak — odparła — Ewa Zawadowska.

— Rodzice?

— Nie żyją. Ojciec był nauczycielem historii i łaciny. Matka też pracowała w szkolnictwie.

— Zamordowany był pani stryjem?

— Tak jest. Po śmierci rodziców przez jakiś czas mieszkałam u stryja.

— Wychowywał panią?

— Nie. Kiedy matka umarła, miałam już osiemnaście lat. Ojciec zmarł dawno temu.

Skinął głową. Wydobył z szuflady paczkę papierosów marki sport.

— Pali pani?

—

Dziękuję — odparła i wydobyła z torebki carmeny. Podsunęła mu paczkę.

—

Nie. Wolę sporty. Kiedy zmięram, od razu kaszlę.

Podał jej płonąca zapałkę, potem sam zapalił, zaciągnął się głęboko i natychmiast chwycił go kaszel.

— To pogoda — powiedział.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Ona była bardzo ładną, młodą kobietą. Miała skupioną, łagodną twarz o pięknych, ciemnych oczach w urzekającej oprawie. Te ciemne oczy, ciemne rzęsy i brwi harmonizowały z jasnozłotym odcieniem włosów. Figurę miała smukłą, długie nogi, piękne ramiona. Wydawała się wiotka. Ubrana była spokojnie, elegancko.

On był tęgawy, jakby nieco opuchnięty, twarz miał szarą, oczy szare, włosy szare.

—

Tak — powiedział — więc teraz jest pani całkiem sama...

—

Mój Boże, panie poruczniku. Mam dwadzieścia pięć lat, zawód...

— Pani lubiła swego stryja?

—

Tak. To jest właściwe słowo. Bardzo go lubiłam.

Znów milczeli chwilę.

—

Pytanie, na które może pani oczywiście nie odpowiedzieć. Ma pani kogoś bliskiego?

Skinęła głową.

— Kto?

—
Adam Morawski. Studiował razem ze mną na Akademii.

— Narzeczony?

—
Może pan to tak nazwać...

Uśmiechnął się kwaśno.

—
Zgoda — rzekł. — Pani, oczywiście rozumie, że będę musiał

poszperać także koło pani. Antoni Zawadowski żył samotnie. Żadnych przyjaciół, żadnych kontaktów. Tylko pani i garstka starych dziadków ze środowiska antykwariuszy. No, trzeba będzie szukać.

— Co pan podejrzewa?

Wzruszył ramionami.

—
Ja, proszę pani, zbieram teraz szczegóły. Same drobiazgi. Nie jestem od podejrzeń, tylko od znuźdnej roboty.

Otworzył szufladę, wydobyl z wolna plik papierów, przerzucił je.

—
Więc pani zeznała, że właściwie nic nie zginęło. Pieniądze, kosztowności?

Potrząsnęła głową.

—
Stryj, jak większość starszych ludzi, odkładał na PKO. Gotówki w domu nie trzymał. Książeczkę PKO miałam u siebie na przechowaniu.

—
Pani mieszka w Nowej Hucie, prawda?

— Tak jest.

— Często odwiedzała pani stryja?

—
Ostatnio coraz częściej. Chorował trochę. Musiałam go doglądać.

Ostatniej nocy spałam u niego, w pokoiku obok.

— Pani dobrze znała zbiory stryja?

—
Bardzo dobrze. Nic godnego uwagi nie zginęło. Zresztą nie było tam rzeczy godnych uwagi.

—
Zgoda. Niech pani dokładnie opisz tego faceta, który wychodził z bramy...

—
Już to przecież zrobiłam. Do protokołu.

— Wiem. Ale jeszcze raz.

—
Był wysoki, dobrze zbudowany. Około trzydziestu lat. Ubrany w popielaty garnitur i bardzo jasne buty. Chyba zamszowe. Bez krawata.

— Włosy, oczy, nos?

—
Widziałam go przez chwilę, raczej w cieniu. Włosy? Chyba szatyn.

— Poznałaby go pani?

— Myślę, że tak...

Zastanowiła się przez chwilę.

—

Wie pan co? To może jest bez znaczenia, ale zrobił na mnie jakieś dziwne wrażenie. Tacy ludzie nie pasują do takich ubrań.

— Dlaczego nie pasują?

—

Tego się nie da wyrazić — powiedziała.

Skinął głową.

—

Proszę pani, ja tu siedzę ładnych parę latek. U mnie można wszystko wyrazić. Ale pomogę pani. Więc jak powinien być ubrany ten gość? We frak?

Roześmiała się cicho.

— Raczej nie. Raczej wręcz odwrotnie.

—

Na przykład fufajka, gumiaki, co?

—

Pan przesadza. Idzie mi o to, że był w bardzo eleganckim garniturze.

Wydaje mi się, że był to zagraniczny ciuch. Buty na pewno !

Zawahała się.

—

Niech pani mówi. Pani ma inne spojrzenie, może trafne. Plastycy widzą takie rzeczy, których inni nie zauważają...

—

Odnoszę wrażenie — powiedziała — że ktoś, kto jest przyzwyczajony do takich garniturów, nie nosi ich bez krawata. I nie wkłada takich półbucików.

— A jakie?

—

Tego nie wiem. Ale chyba inne. Jednym słowem ten człowiek zrobił na mnie wrażenie, jakby się przebrał albo po raz pierwszy w życiu włożył ten garnitur. To był nowy, drogi, bardzo elegancki garnitur.

—

Zgoda — powiedział porucznik. — A jakieś znaki szczególne?

— Nie zauważyłam.

— Szkoda. Niech mi pani teraz powie coś na temat interesów pani stryja...

—

Żadnych interesów. Od pięciu lat żył z renty, a kiedy było mu szczególnie ciężko, sprzedawał jakiś sztych, albo starą mapę.

— To cienko u niego było?

—

Moi rodzice zostawili oszczędności, ale on z tego nie korzystał. Łożył z tych pieniędzy na moją naukę, na moje utrzymanie. Sam żył więcej niż skromnie.

—

Gdzie sprzedawał te swoje sztychy i mapy? W Desie?

—

Nie. Stare pokolenie antykwariuszy ma sceptyczny stosunek do fachowości Desy. Na tym tle były kontrowersje między mną a stryjem. Ci panowie zawsze uważają, że młodzi historycy sztuki niewiele potrafią...

— Więc gdzie stryj sprzedawał?

—

To się rzadko zdarzało. Miał dwóch czy trzech odbiorców. Trochę kolekcjonerzy, trochę handlarze. Pan Zykuń z Warszawy, ale głównie doktor Chlebo- 'wicz. Ginekolog i zbieracz. Często odwiedzał stryja, nakłaniał go do sprzedaży pewnych rzeczy, to i owo kupił.

Skinął głową.

— Zgoda — rzekł. — I to wszystko?

— Chyba wszystko.

— Tego gościa w jasnych butach nie widziała pani nigdy przedtem?

— Raczej nie. Na pewno nie!

— Dlaczego na pewno?

—

Bo wyglądał bardzo charakterystycznie w tym ubraniu...

—

Ale gdyby przedtem był w innym ubraniu?

— Na przykład, panie poruczniku?

—

Tego nie wiem. Ale na przykład hydraulik? Albo kominiarz?

Zamyśliła się przez chwilę.

—

Może. Nie wiem. Teraz poznałabym go na pewno.

— Zgoda. To już coś.

Zapalił drugiego papierosa, spojrzął w okno, za siebie.

—

Co za pogoda... Bez przerwy leje. Niech mi pani powie, jak stryj spędzał czas?

—

Zwyczajnie, panie poruczniku. Ostatnio mało wychodził. Trochę zdziwaczał. Czekał na coś...

— Na co czekał?

Uśmiechnęła się.

—

Do tego nie należy przywiązywać wagi. Samej mi to przyszło na myśl zaraz po morderstwie, ale naprawdę...

—

Zgoda — przerwał jej — niech pani powie, na co czekał.

—

Tego nie wiem. Nie mam pojęcia. Od kilku miesięcy co pewien czas powtarzał, że trzeba cierpliwie czekać, bo wszystko się zmieni.

— Co mianowicie się zmieni?

Wzruszyła ramionami.

— Zdaje się, że stryj nie był nigdy zachwycony naszą rzeczywistością, panie poruczniku. Więc...

—

Ale dlaczego czekał na jakieś zmiany od kilku miesięcy... Gdyby od czterdziestego piątego czekał

— tobym wiedział, co należy sądzić. Czy to przyszło nagle?

— Nie umiem powiedzieć. W każdym razie czekał, że coś się zmieni.

— Ogólnie? Czy w jego życiu?

— Cóż mogłoby się zmienić w życiu stryja? Miał prawie siedemdziesiąt lat, był schorowany, żył samotnie wśród swoich sztychów, map, książek... Ja myślę, że to była skleroza, panie poruczniku. Nic więcej.

— Może skleroza. Pani go przecież dobrze знаła. Jeszcze jedno. Czy on się bał?

— Czego miałby się bać?

— Tego nie wiem, proszę pani: Ale czy nie zauważyła pani zmiany?

Czy był inny niż przedtem?

—

Nie przypuszczam. Poza tym, że czekał na coś urojonego. Ale nie robił wcale wrażenia zalęknionego? Raczej przeciw* nie. Ostatnio bywał

w dobrym humorze. Nawet choroba nie wyprowadziła go z pogodnego nastroju.

— Zgoda. Teraz kilka słów o pani. Znajomi, przyjaciółki? Pani rozumie...

Skinęła głową, uśmiechnęła się lekko.

— Z tym najmniejszy kłopot, proszę pana. A więc Adam Morawski, jego siostra Wanda, kilkanaście osób ze środowiska plastycznego.

Mieszkam sama. Zarabiam na życie najgłupiej w świecie.

— Na czym to polega?

— Wnętrza wystaw sklepowych, jakieś dekoracje w świetlicach.

Wybrałam sobie ciężki kawałek chleba.

— Nie pani jedna — powiedział porucznik.

IV

—
Nazywam się Engel — powiedział porucznik — telefonowałem do pana doktora.

— Tak jest. Proszę bardzo.

Weszli do gabinetu. Słońce połyskiwało na białym lakierze mebli.

— Jestem do dyspozycji — powiedział doktor Chlebowicz, siadając za swym biurkiem. Porucznik

Engel spojrzał spode łba.

— To nie potrwa długo.

Usiadł ciężko na krześle.

—
Nie chciałem pana trudzić do komendy, panie doktorze. Kilka drobnych wyjaśnień...

— W związku z czym?

—
Ze sprawą morderstwa Zawadowskiego.

—
Wiem. Czytałem — powiedział doktor. Wydobył z szuflady biurka fajkę i nabijał ją tytoniem.

Zapachniało śliwkami.

—
Pan go znał, prawda? — powiedział Engel.

Chlebowicz skinął głową.

—
Nawet nieźle.... Miał interesujące zbiory. Kupowałem u niego. Żeby pan wiedział, z jakim trudem kupowałem...

— Z trudem?

—
Czy pan zna środowisko antyk- wariuszów, panie poruczniku?

—
Nie znam — powiedział Engel. — niby skąd miałbym znać?

—
Właśnie. To bardzo osobliwi ludzie. Z pozoru żyją przecież z handlu.

Ale nie każdemu sprzedają i nie wszystko sprzedają. Stare rzeczy budzą nie tylko namiętności.

Przywiązanie również.

— Co pan u niego kupował?

— Mapy. Wyłącznie mapy. Ja, proszę pana, zbieram te rzeczy od dawna. Mam ładną kolekcję. U Zawadowskiego można było czasem znaleźć coś bardzo wyjątkowego.

— Po co panu taka kolekcja?

Chlebowicz roześmiał się.

— Jedni zbierają znaczki, inni pieniądze, jeszcze inni stare mapy albo na przykład — porcelanę, albo coś jeszcze...

— I pan właśnie zbiera mapy?

—
Tak jest.

— Zgoda — powiedział porucznik Engel. — Panie doktorze, niech pan mi powie, co się mówi o

tym morderstwie w środowisku zbieraczy?

Chlebowicz zmarszczył brwi, z wolna zapalał fajkę.

— Trudno mi na to odpowiedzieć. Ja się z tym środowiskiem nie stykam. To jest gromadka starych ramoli, gdy tymczasem ja... Mam tyle zajęć zawodowych, panie poruczniku.

— Rozumiem — powiedział Engel.

— Czy zginęły jakieś cenne-przedmioty? — spytał Chlebowicz.

— Sęk w tym, że chyba nic nie zginęło. To nie było morderstwo rabunkowe. Bardzo dziwna historia. Właśnie dlatego pytam pana, co się na ten temat mówi?

— Słyszałem, że go uduszono — powiedział z wolna Chlebowicz —

jakimś ręcznikiem czy pończochą. To wyszło z jego domu, od sąsiadów...

Słyszałem też, że bratanica odkryła zwłoki, kiedy wróciła do mieszkania po jakiś drobiazg.

— Wszystko się zgadza — powiedział Engel — ale mnie interesuje, co pan osobiście sądzi o tej sprawie.

Chlebowicz pokiwał przecząco głową.

— Ja nie mam żadnego poglądu, panie poruczniku. Widziałem się ostatni raz z Zawadowskim jakieś trzy tygodnie temu. Byłem u niego.

Kwękał trochę. Wątroba, żołądek... Wyglądał mamie. Ostatnio bardzo się posunął. Ale był w

dobrym hu
morze... Pogwarzyliśmy trochę, potem wyszedłem.

— Kupił pan coś u niego?

Chlebowicz zaprzeczył ruchem głowy.

— Chciałem, ale nic z tego nie wyszło...

— Mapa?

—

Oczywiście, że mapa. Ale nie chciał sprzedać. Mnie to szczególnie nie bawiło, więc nawet specjalnie nie nalegałem.

— A dlaczego pana nie bawiło?

—

Ja zbieram głównie mapy, jeśli się tak można wyrazić, artystyczne.

Rozumie pan chyba... Miasta, kraje. To są rzeczy nieopisanej piękności.

Ozdobione sztychami, jakieś drobiazgowe krajobrazy i różne widoki.

Mapy morskie są znowu innego, rodzaju. Węże, smoki, żaglowce. Inny typ wrażliwości.

—

Zgoda. Więc był wtedy w dobrym nastroju. O czym panowie rozmawiali?

—

Rzeczy banalne. Zostawiłem mu jakąś receptę na środek nasenny i poszedłem.

—
Nie, kochanie — powiedziała z odrobiną smutku. — Dzisiaj nie!
Morawski zmarszczył brwi.

—
Jesteś przesadna. Co cię obchodzą języki tych wścibskich idiotek.

Gdybyś nawet prowadziła najprzykładniejsze życie — i tak będą plotkowały. Młodość i uroda!

Tego one nie wybaczą.

—
Daj spokój — powiedziała. — Dzisiaj wracam sama.

Stali na przystanku autobusowym w ciepłe letniego zmierzchu.

Dochodziła ósma. Dzień parny, gorący.

—
Jesteś taka piękna — powiedział Morawski.

Pogładziła go po głowie.

— Jeżeli zdecydowałaś, że będziesz za- ma, to przynajmniej moglibyśmy się kawałek przejść...

— Nie, kochanie. Jestem naprawdę zmęczona. I raczej w podłym nastroju... Ten Engel prześladowuje

mnie bez przerwy

— Chyba musi cię prześladować — powiedział Morawski. — Na tym polega jego robota...

— Ależ oni nie mają zielonego pojęcia

o tej sprawie. Nieustannie te same pytania, te same relacje... Zupełnie, jakby liczył, że coś wreszcie pomylę.

— Dla mnie był bardzo miły — rzekł Morawski. — Rozmawialiśmy nie dłużej jak kwadrans i na tym koniec.

— Odnoszę wrażenie jakby ten Engel wiązał całą sprawę z moją osobą.

To jest okropne, kochanie.

— Przewrażliwienie — odparł Morawski. — Po prostu nigdy nie stykałaś się z milicją, która szuka przestępcy.

— A ty?

—
Co ja?

— Stykałaś się z milicją?

— Także nie. Ale przypuszczam, że muszą swoje robić nie zważając na nasze nastroje...

Nadjechał autobus.

— Podwiozę cię — powiedział Morawski.

— Nie, to nie ma sensu — odparła, wsiadając. — Pa, kochanie. Do jutra!

Autobus ruszył, Morawski został na przystanku. Spoglądała za nim długo. Wieczór był parny, z

wolna zapadał mrok, wzdłuż ulic stały nieruchome drzewa, już bez cienia. Autobus sunął monotonnie,

Ewa przymknęła oczy, opuściła głowę. Autobus zatrzymywał się na przystankach

i ruszał dalej. Ludzie przechodzili wzdłuż wozu. Było tłoczno i duszno.

Otworzyła oczy i leniwie spojrzała przez okno, by sprawdzić, kiedy powinna przesuwać się ku

wyjściu. Autobus ruszył właśnie. Ujrzała w mroczniejącym

prostokacie zakurzonej szyby nogi mężczyzny w bardzo jasnych, zamszowych półbutkach i

popielatych spodniach. Nogi wsiąkły w zmierzch, autobus nabrał prędkości, zajaśniała pierwsza latarnia nad ulicą. Ewa gwałtownie przechyliła głowę, przywarła twarzą do szyby. Ten człowiek wyszedł już na chodnik. Był wysoki, ciężki, silny. Zdołała dostrzec łysinę na czubku jego głowy i ciemny zarost na policzkach. Ale było już za późno na cokolwiek. Autobus jechał szybko opustoszałą, wieczorną ulicą.

Kiedy wysiadła na swoim przystanku — pobiegła do automatu telefonicznego, aby połączyć się z Englem. Nie miała szczęścia — Engel był nieobecny. Dyżurny oficer poinformował ją, że porucznik zjawi się w komendzie nazajutrz rano.

Zrazu chciała powiadomić oficera o spotkaniu z mężczyzną w jasnych półbucikach, ale zrezygnowała z tego. Ten człowiek wysiadł z autobusu przed dziesięcioma minutami, poszedł gdzieś, przepadł bez śladu. Alarm wydał się jej bezsensowny.

Poszła wolno ku domowi. Była podniecona tym osobliwym spotkaniem.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że to był ten sam człowiek, którego ujrzała w bramie kamienicy przy Floriańskiej. Ale gdzież dowód, że to on właśnie zamieszany jest w zabójstwo stryja? Może zarówno na Floriańskiej jak i teraz w Nowej Hucie — zjawił się całkiem przypadkowo?

Pomyślała, że jednak Engel musi coś wiedzieć, jeśli tak bardzo interesował go ten tajemniczy mężczyzna. Zapewne milicja sprawdziła wszystko wokół miejsca zbrodni. Przesłuchiwano sąsiadów. Kto przychodził, kto wychodził, kogo zauważyli? Ten człowiek w jasnych butach nie pasował widocznie do kamienicy przy Floriańskiej, skoro wzbudzał takie zaciekawienie Engla.

Engel wydał się nagle Ewie dość dziwnym typem. Ocieężały, zwalisty, wiecznie odrobinę zaspany, o cerze niezdrowej i ołowianym spojrzeniu, palący mnóstwo złych papierosów. Zadawał pytania monotonnym głosem, nie robił żadnych notatek. Na pierwszy rzut oka przypominał boksera albo tragarza kolejowego, którego ubrano w milicyjny mundur. Zdawał się przemęczony i odrobinę rozczarowany życiem. Miał już chyba pięćdziesiąt lat i tylko trzy gwiazdki. Nagle zaciekawiło ją jego życie. Czy ma żonę? Dzieci? Jeśli tak, jest to zapewne kobieta ciężko zapracowana.

Wieczorami patrzy w telewizor, kupiony na raty. Kiedy po raz drugi była w pokoju Engla — schował starannie do szuflady resztki śniadania. Za-kręcał termos z herbatą. Nie musiało mu się powodzić zbyt dobrze.

Zauważyła, że ręczny zegarek nosi w kieszeni mundurowej kurtki. Kiedy go spytała, skąd takie przyzwyczajenie, odparł rzeczowo — „Wie pani, ja już dwa zegarki zgubiłem. A to wcale nie jest tanie...” W gruncie rzeczy, mimo ocieężałości i leniwego sposobu mówienia —

był przecież sympatyczny. Robił wrażenie człowieka ciężko zapracowanego, a to wzbudzało zaufanie.

Szła szybkim krokiem w stronę domu, przecinając ukośnie skwer, już opustoszały. Noc zapowiadała się gorąca i duszna. Niebo było pokryte chmurami. Ani jednej gwiazdy.

Na klatce schodowej nacisnęła przełącznik światła — ale nie działał. Nie zdziwiła się. Poszła mozolnie na trzecie piętro, w coraz bardziej gęstniejącym mroku. Stąpała z wolna i myślała o poniedziałkowej wizycie w komendzie.

Nagle zatrzymała się. Nie była sama na schodach. Wyczuwała w ciemności obecność drugiego człowieka. Podniosła głowę i przez ułamek chwili widziała nad sobą, na podeście schodów, zarys męskich nóg w jasnych półbucikach.

Zbiegła gwałtownie w dół, niemal bez przytomności. Słyszała za sobą kroki tam tego, coraz bliżej. Wybiegła na skwerek, odwróciła głowę, ujrzała go w świetle latarni, jak biegnie wielkimi susami, jak się zbliża... Krzyknęła rozpaczliwie, rzuciła się do przodu, ku alejce. Z

przeciwnej strony szedł

jakiś chłopak w dżinsach i palił papierosa. Pobiegła ku niemu.

— Jezus Maria! — zawołała. Chłopak był szybki. Natychmiast się zorientował. Skoczył w kierunku mężczyzny w jasnych butach. Ale tamten ujrawszy chłopca — rzucił się do ucieczki.

Ewa usiadła na ławce. Oddychała z trudem. Zjawił się jakiś starszy pan.

Po chwili wrócił chłopak w dżinsach.

— Ten gość przepadł — powiedział. — Ma dobre chody... Mąż?

— To morderca — powiedziała Ewa.

Starszy pan wydawał się wzburzony.

— Trzeba natychmiast zawiadomić milicję! — zawołał.

Ewa skinęła głową. Chłopak gwizdnął przez zęby.

— Morderca? Jeszcze nigdy nie miałem przyjemności... I chciał panią załatwić?

— Nie wiem... Ale chyba tak.

VI

— Kochasiu — powiedział Engel, — Masz takie zdrowe, młode nogi...

Dlaczego ten facet ci zwał?

—

Już go prawie miałem, panie poruczniku...

— I wtedy poczułeś pietra, co?

—

Nie poczułem pietra, ale kto inny na pewno by poczuł. To jest kawał chłopca!

Chłopak siedział w pokoju Engla, na brzeżku krzesła, lekko pochylony do przodu. Palił papierosa, wypuszczał dym przez nos.

—

Ty się, kochasiu, nazywasz Jacek Majdaj i masz parszywą opinię — powiedział cierpko Engel. — I skąd się w ogóle wzięłeś w tej historii?

— Bocian mnie przyniósł, panie poruczniku.

— Nie pajacuj.

—

Bo pan się czepia! — powiedział ostro chłopak. — Szedłem spokojnie skwerem, kiedy babeczka wyleciała z krzykiem, a tamten facet sadził za nią jak pies gończy...

— Widziałeś kiedy gończego psa? — spytał Engel.

— Nie...

—

Ja też nie! Zgoda. Gadaj dalej. Tylko bez ozdobników. Do rozrywki to ja mam telewizję, kino i cwaniaków od kradzieży samochodów. Tu chodzi o poważne sprawy...

— Ja wiem.

— Jak ten gość wyglądał? Wszystkie szczegóły, nawet najdrobniejsze...

— Ubranko cacane, takie więcej bel- mondo. Pan wyczuwa?

— Wyczuwam, kochasiu. Belmondo. Dalej!

— Bucik gangsterski, panie poruczniku. Znaczny.

— Tego już nie wyczuwam. Jaki bucik?

—

Gangsterski. U nas takich się nie spotyka. Zamsz, prawie biały, jakiś dziwny wykrój, jakiś obcasik.

— Wysoki był ten gość?

— Wysoki. Ponad metr osiemdziesiąt. I bary, jak — nie przymierzając

— u pana porucznika. Ale pan przy nim wygląda jak ułomek...

— To też wyczuwam, kochasiu. Znaki szczególne? Kapujesz chyba?! Ta pani jest plastyczką, ona nie bardzo wie, o co w takich wypadkach chodzi.

Ale ty chwytasz.

—

Tak jest. Znaki były, i owszem. On lekuchno utyka na lewą nóżkę.

Albo przetrącona, albo but przyciasny.

—

Jeśli to drugie, to jak zmieni buty, nie będzie śladu...

— To trzeba mu powiedzieć, żeby został w tych butach na resztę życia.

— Nie pajacuj, kochasiu! Od żartów to tutaj jestem ja. Ciebie spotyka wielki zaszczyt, że wierzę twoim słowom. Ja się nawet nie pytam, coś ty robił w Nowej Hucie, skąd się wzięłaś na tym skwerku i tak dalej.

Powinieneś to docenić. Może tam stoją jakieś szykowne wartburgi. Co, Majdaj?!

— Ja przy wartburgach nie pracuję, panie poruczniku. Dwusuwy mnie wcale nie interesują. A co do tej Nowej Huty, to wracałem od dziewczyny.

Można sprawdzić. Irka Szumańska. Ona tam właśnie mieszka.

— Ładna?

—

Ładna, panie poruczniku.

— Zgoda! Posłuchaj mnie uważnie, Majdaj! Ty wiesz, że milicja jest szlachetna, a pod błękitnym mundurem bije ludzkie serce.

— Tak jest, panie poruczniku.

— Ja do ciebie nic nie mam i nie chcę mieć. Nie mój resort. Pan porucznik Skowroński czuje do ciebie wprawdzie głęboką odrazę, ale jeśli będziesz tak dobry i udzielisz mi pewnych wskazówek, to jemu ta odraza może, przeminąć. Rozumiemy się?!

— Tak jest, panie poruczniku...

— Zgoda, Majdaj. Rozmawiam teraz z uczciwym obywatelem.

Społeczeństwo nam "zawsze pomaga. Ty należysz do społeczeństwa.

— Pewnie, że należę...

— Ja mogę pogadać z referatem samochodowym, żeby ciebie tak bardzo nie molestowali o każdą sprawę, jaka im się przytrafi na mieście.

Oczywiście, jeżeli będziesz w zupełnym porządku i nie gwizdniesz znowu jakiejś skody spod Wierzyńka dyrektorowi Nowakowskiemu...

— Panie poruczniku, to jest stara historia. Już za swoje dostałem. Ja teraz się Kocham i nie mam głowy do motoryzacji.

— Tego nigdy się nie wie naprzód.

Zgoda! Więc ty się dobrze rozejrzyj za tym gościem w gangsterskich półbutach i garniturze belmondo. I twoja ferajna — również. Wy macie młode oczy i jest was cała kupa. Ja jestem starszy człowiek, a ty się orientujesz, że u nas z etatami nietęgo. Trzeba się odwoływać do współpracy lojalnych obywateli.

—

Ja rozumiem, panie poruczniku, bo jestem pojętny od dziecka. Ale to nie takie proste. Facet jest znaczny z powodu ubrania. Jeśli zmieni sznyt — trudno będzie go poznać.

—

Ja ci dam trochę fotek. Ty sobie przejrzyj te fotki. Może tam się znajdzie jakiś belmondo...

Chłopak zdusił papierosa i sięgnął do kieszeni po następnego.

—

Pan myśli, że to jest jakiś ważny gość z branży?!

— Nie wiem, jeszcze nic nie wiem.

VII

—
Obywatel major pozwoli zameldować?

—
Czekam i piszczę z niecierpliwości, Engel!
Engel usiadł ciężko przed biurkiem majora.

—
Coś nowego wreszcie? — spytał major.
Engel lekko rozłożył ręce.

—
I tak, i nie — odparł. — Trochę to wszystko dziwne... Ale pewne sprawy już się wyjaśniły.

— Mianowicie?

— Ten gość w jasnych butach rzeczywiście istnieje.

— Wyście w to wątpili, poruczniku?

— Obywatelu majorze, ta Zawadowska

była jedyną osobą, która widziała faceta. Mogło się jej wydawać. Mogła go sobie wymyślić.

Major popatrzył na Engla.

— Jesteście strasznie podejrzliwi, Engel.

— Pracuję, jak umiem, obywatelu majorze. Więc teraz to jest jasne.

Taki człowiek istnieje. Co o nim wiemy? Mało i dużo zarazem... To nie było morderstwo rabunkowe, ponieważ u starego Zawadowskiego nie stwierdzono, aby coś zginęło. Morderca nie liczył się z faktem, że ona wróci do stryja po parasolkę i zobaczy go w bramie. Przestraszył się. Dlatego postanowił ją załatwić. Ostatecznie, jedyny świadek...

— To jest dość niepewne rozumowanie, poruczniku. Nawet gdyby go rozpoznała, nie stanowiłoby to silnego dowodu. Żadnych śladów nie udało się zabezpieczyć. Facet mógłby się bronić, że był w tej bramie przypadkowo...

—
Mógłby, obywatelu majorze. Ale nie przede mną! Jak go znajdę, to go przycisnę. Przecież musiał znać starego, przyszedł do niego w określonej sprawie... Takie rzeczy wychodzą. Powolutku, opornie, ale przecież wychodzą. Dzisiaj więcej spraw się wyjaśniło. Chciał, co do tego nie ma wątpliwości, zabić Ewę Zawadowską. Spłoszony — uciekł! Myślę, że będzie próbował jeszcze raz...

— Trzeba to brać pod uwagę — powiedział major. — Musicie Zawadowskiej pilnować...

— Pilnuję jak oka w głowie. Tyle, że ona nie bardzo się orientuje.

— Tym lepiej. Co dalej?

— Ten człowiek utyka na lewą nogę.

— Pewne, że utyka? Może buty ma ciasne...

— Może buty. Ale przecież nie nosiłby ciasnych butów przez tyle dni.

Starego Zawadowskiego zamordowano we wtorek. Próba zabójstwa tej pani była w sobotę wieczorem. Kto chodzi w ciasnych butach przez cały tydzień?

— Ktoś kto nie ma innych, poruczniku.

— Myślałem o tym. On jest dobrze u- brany. Zamożnie. I nie jest stąd...

— A skąd?

— Nie mam pojęcia. Ale u nas taki gość nie figuruje. Panna Zawadowska przejrzała nasze bużki.

Majdaj — również! Bez rezultatu.

Poza tym facet słabo zna miasto. Wysiadł o jeden przystanek wcześniej, potem musiał iść chyba bardzo szybko, bo zdążył przed Zawadowską do jej domu. Gdyby nie telefonowała wtedy do komendy — zastałby ją w mieszkaniu...

—

To znaczy, że jej nie poznał w autobusie, Engel! To znaczy, że jej nie śledził... Przecież nie wysiadłby wcześniej, gdyby ją śledził!

— Tak jest. Myślę, że spotkanie w autobusie było czystym przypadkiem. Jechał do niej, do mieszkania... I gdyby go nie dostrzegła, gdyby nie telefonowała z automatu — byłby ją załatwił. W mieszkaniu nie miała żadnych szans.

— Dlaczego jechał autobusem, a nie taksówką? Jak myślicie, poruczniku? Powiadacie, że zamożnie wygląda...

— Wolał autobus. Z taksówkarzami nigdy nie wiadomo. Mają czasem pamięć do twarzy. Nie chciałby się zdradzić, pod jaki adres jedzie... To jest człowiek z pewnym doświadczeniem. Ale nie zna miasta.

— Co więcej?

— Na razie nic. Ale popracuję sobie nad tym, obywatelu majorze.

Sprawa nie jest prosta. Ten gość jest obcy. To wymaga trochę czasu.

—

Słuchajcie, poruczniku. Macie duże doświadczenie. Macie, jak to się powiada, specjalny zmysł... Jak wam się zdaje, co w trawie piszczy?

Engel rozłożył ręce. Wyglądał kiepsko, w świetle słonecznym jego twarz była niemal popielata, pobrużdżona grubymi krechami, policzki zwisały ku dołowi, nadając twarzy wyraz pewnej gnuśności.

— Mnie, obywatelu majorze, jedna sprawa trapi. Ta pończocha, mianowicie...

To nie jest nasz styl

-Styl?

— Tak to sobie nazwałem, obywatelu majorze. Nie mamy w naszej praktyce podobnych wypadków. Był kiedyś, w początku lat pięćdziesiątych taki gość, nazywał się „Piotruś-Pończoszka”, zboczeniec seksualny. Dusił kobiety pończochą. Od tamtego czasu nie zdarzyło się w Polsce, żeby kogoś zamordowano takim dziwnym narzędziem. To bardzo filmowo wygląda, prawda? Po amerykańsku...

Przerwał na moment, sięgnął do kieszeni, wydobył paczkę sportów.

— Obywatel major pozwoli zapalić?

Tamten skinął głową. Spoglądał na

Engla z zainteresowaniem i szczyptą rozweselenia.

— Ja rozumiem, że na przykład kastet — kontynuował porucznik, zapaliwszy papierosa — albo młotek... To jest w stylu. Gdyby go udusił

gołymi rękami, też bym się nie dziwił. Ale pończocha?! Zresztą zwyczajna. Produkcja francuska, firma „Miranda”, u nas są w sprzedaży.

Pełno tego w lepszych sklepach z damską konfekcją. Żaden ślad. Poza tym, że nowa, nie używana. Poza szyją tego starego, oczywiście...

Zamilkł na moment, po chwili mruknął

— Powinna być gdzieś druga sztuka od tej pary. Ale tego nigdy nie dojdziemy...

Zakasłał, spojrzał przeproszająco na majora.

— Więc tak właśnie sobie myślę. Metoda zabójstwa raczej obca, facet obcy, garnitur i obuwie

zagraniczne.

— To może być maskarada, poruczniku — powiedział major.

— Wszystko może być. Ale powącham v.- hotelach. Tylko, że gęba u tego gościa jakaś taka nadwiślańska. Przynajmniej z opisu.

— No, dobrze — rzekł major, trochę zasępiony — a motyw?

— Obywatelu majorze — odperł Engel — gdybym ja miał motyw, tobym miał zabójcę... Rabunek nie wchodzi w grę, bo nic godnego uwagi nie zginęło. Ale tak sobie wciąż myślę, że jednak coś musiało zginąć. Ten facet po coś przyszedł, czegoś chciał. Nie może być inaczej...

—
Żadnych śladów, świadczących o poszukiwaniu nie odkryto — rzekł major.

— Żadnych. Zresztą, on nie miał na to czasu. Panna Zawadowska wyszła z mieszkania stryja kwadrans przedtem. Morderstwo musiało trwać nie dłużej niż pięć minut. Wszedł, zabił i wyszedł. Bratanica spotkała gościa w bramie. Nawet drzwi za sobą nie zamknął. Musiało to być tak, że stary mu otworzył, poprosił do środka, siadł w fotelu. I wtedy tamten... Kilka minut, obywatelu majorze. Cisza, spokój, czysta robota...

— Sądzicie, że oni się znali ze starym?

— Raczej tak. Stary człowiek nie wpuści do mieszkania jakiegoś obcego draba. A jeśli się nie znali, to przyszedł z czyjegoś polecenia...

— Co z tym Chlebowiczem?

— Nic. Widzieli się trzy tygodnie temu. Chlebowicz chciał kupić jakąś mapę, ale mu stary nie sprzedał. To wszystko.

— Co to za mapa?

— Morska, podobno... Nie myślę, żeby to było ważne, ale rozejrzymy się w zbiorach starego. Porucznik Lewandowski z Warszawy przesłuchiwał niejakiego Zykunia, który też handlował z Zawadowskim.

— No i co z tym Zykuniem?

— Jeszcze nie mam wiadomości. Spodziewam się lada chwila...

VIII

Do Warszawy przyjechał wieczorem. Podróż miał ciężką. Dzień był gorący, ludzie tłoczyli się niemiłosiernie. Wsiadłszy na Dworcu Głównym — wypił w kiosku dwa kufle chłodnego piwa. Lewandowski czekał na niego samochodem.

— Nie — powiedział Engel. — Nie chcę zwlekać, kochasiu. Jedźmy tam zaraz.

Zykuń mieszkał na Smoczej, w nowym bloku. Był to starszy, nobliwy pan, wdowiec. Zajmował obszerną kawalerkę, zagraconą potwornie najprzeróżniejszymi przedmiotami z porcelany i metalu. Na ścianach pokoju wisiały stare sztychy i mapy, ściśnięte, zatłoczone. Z sufitu zwieszał się kryształowy żyrandol.

Zykuń przyjął ich wylewnie.

— Pan porucznik trudził się z Krakowa, aby wysłuchać mojej opowiadki — powtarzał. — To przecież komiczna historia... Napiją się panowie herbaty?

Engel przytaknął.

Usiedli na wygodnej kanapie razem z Lewandowskim. Zykuń kręcił się w kuchence.

— Nie przyszłoby mi do głowy, że sprawa tak panów zainteresuje.

Bądź co bądź to ma posmak humorystyczny.

— Nas wszystko interesuje — powiedział Engel i zapalił papierosa.

To się rozumie. Sprawa o morderstwo. Bardzo sensacyjne. Nigdy nie uczestniczyłem w czymś podobnym.

Kiedy wreszcie usiadł w fotelu i kiedy ujęli w dłonie filiżanki herbaty, Engel zapytał:

— Jak pan długo zaiął Zawadowskiego?

— Ponad czterdzieści lat. Bardzo przyzwoity człowiek i wyśmienity specjalista...

Po wojnie trochę podupadł. To nie są czasy dla antykwariuszy, proszę panów.

— Dlaczego nie?

— Takie mnóstwo wspaniałych rzeczy poszło z dymem podczas wojny, że zostały nędzne resztki. Może jeszcze w Krakowie coś się znajdzie. Ale u nas, w Warszawie... Czy pan da wiarę, że Desa handluje starymi młynkami do kawy i samowarami. Nic prawdziwie wartościowego, może mi pan wierzyć.

— A to wszystko? — spytał Engel wskazując sztychy, tłoczące się na ścianach.

— To są dobre rzeczy, ale nie wszystkie mają wartość. Chciałem powiedzieć — nie jednakową wartość. Z moich przedwojennych zbiorów nic nie ocalało.

Engel wypił herbatę, parząc sobie wargi. Odstawił filiżankę.

— Niech pan łaskawie powtórzy tę historię z mapą. Co to była za mapa? Jeś]i można prosić, to bardzo dokładnie.

— Ależ oczywiście — powiedział Zykuń — jak najdokładniej. Więc to, proszę panów, nie jest nic nadzwyczajnego z punktu widzenia zbieracza.

Rzecz banalna. Wartości wielkiej nie posiada. Tyle, że jest związana z rarytną legendą...

— Mianowicie? — zapytał Engel.

— Wie pan, kiedyś, przed pięćdziesięciu czy stu laty takie historyjki były bardzo modne. Dzisiaj, w świecie rakiet kumicznych, już się na to moda skończyła. Ja nie znam dokładnie tej historii, ale ma ona jakiś związek z Matthewsem. To był pirat na Morzu Karaibskim w drugiej po-

łowie XVI wieku. Zakopał swój olbrzymi skarb na jakiejś bezludnej wysepce w pobliżu Tobago.

— Co to jest Tobago? — wtrącił Engel.

— Wyspa nie opodal brzegów Ameryki Południowej. Tamtędy wiodły szlaki korsarskie w dawnych czasach...

— Rozumiem. Zgoda — powiedział Engel. — Niech pan łaskawie opowiada dalej...

— Więc tę mapę, sporządzoną bardzo nieporadnie na skrawku żaglowego płótna, odnaleziono gdzieś w połowie XVII wieku na wysepce, którą potem nazwano Wyspą Czterech Łotrów. Mapa wędrowała po Europie przez długie lata i jeszcze przed wojną wpadła w ręce Zawadowskiego.

— Pan ją widział?

— Oczywiście — odrzekł Zykuń — dziesiątki razy. Antek Zawadowski miał do niej szczególny sentyment. Zawsze, przez całe lata, trzymał ją na biurku w takim zielonym, skórzanym passe-partout.

— Nie znaleźliśmy nic takiego na jego biurku — powiedział Engel i zmarszczył brwi.

— To oczywiste... — podjął Zykuń. — Ponieważ od jakiegoś czasu Zawadowski trochę zdziwaczał. I właśnie w związku z tą mapą. Zimą tego roku, chyba w grudniu... Tak, na pewno w grudniu, bo to było przed Bożym Narodzeniem, kiedym wpadł do Krakowa. — zaszedłem do Zawadowskiego. I natychmiast zauważyłem, że nie ma na jego biurku mapy Wyspy Czterech Łotrów. Więc go, nieco zdumiony, pytam, czy wreszcie sprzedał tę rzecz i kto ją kupił... A on mi na to „Kochany panie Michale, ja tej mapy nie sprzedam nigdy. To mój skarb!” Roześmiałem się na to, on również... Potem gdzieś poszedł, wrócił po chwili, niosąc swoje passe-partout. I wiecie panowie, co się stało? Kiedym wyciągnął rękę, nie podał

mi tej mapy. Po raz pierwszy od lat... Nawet droczyłem się z nim przez chwilę, ale wydał mi się dziwnie nieustępliwy. Więc wzruszyłem ramionami. Niech tam, pomyślałem sobie, stary ma swoje fanaberie!

Zapytałem go, czy naprawdę wierzy w skarb, związany z tą mapą.

„Oczywiście

— odparł. — Co do tego nie ma żadnych wątpliwości!” — „I wybiera się pan na drugą półkulę, żeby go odszukać?!” — zapytałem wesoło. „On mnie znajdzie

sam” — odparł Zawadowski. Wtedy widziałem go po raz ostatni.

— Interesujące — rzekł Engel. — Bardzo interesujące. Czy Zawadowski był trochę fantastą?

—

Ale gdzie tam — odrzekł bez wahania Zykuń. — Reczowy i akuratywny do przesady. Prawdę mówiąc, to nie był umysł wysokiego lotu.

Raczej belfer niż zbieracz z temperamentem. Historia z mapą miała sklerotyczne podłoże. U starców zdarzają się podobne rzeczy...

— No, tak — wtrącił porucznik Lewandowski. — Na pewno to się zdarza. Ale czy pan sądzi, że on wtedy mówił serio. Czy może raczej żartował?

— Myślałem nad tym — odparł Zykuń. — To było trochę dziwne i nie całkiem pasowało do Zawadowskiego. Wydawało mi się najpierw, że on żartuje. Ale jednak było w tym coś serio. Może początek dziwactwa, jakiś pierwszy sygnał rodzącej się manii.

— Co ta mapa przedstawia? — zapytał Engel. — Czy pan to może odtworzyć?

—

Ależ bez trudności — odparł Zykuń i wstał z fotela. Wziął z biurka kartkę papieru, długopis i wprawnymi ruchami ręki naszkicował mapkę.

—

Pamiętam ją doskonale, bo jest szalenie prosta. Właśnie dlatego nie budziła nigdy, w nowszych czasach, żadnego zainteresowania badaczy.

Proszę niech panowie się przypatrzą. Zarys linii brzegowej, strumyk, kępa drzew. Nieco dalej oznaczone wzgórze. Tutaj, nad brzegiem strumienia — obozowisko czterech łotrów, którzy ukradli skarb. Ścieżka, idąca nieco pod górę, zboczem. Znow jakież kępy drzew, jakaś skała, a tuż obok krzyżyk, oznaczający miejsce zakopania skarbu piratów. Zbyt naiwne, aby mogło być prawdziwe. Pamiętam, że jeszcze przed wojną, kiedy po raz pierwszy oglądał tę mapkę powiedziałem do Zawadowskiego, że chyba dał się nabrać na jakiś naiwny falsyfikat, bo takiej prostackiej mapy nie wy

konałby przecież doświadczony żeglarz. Takie szkice robią zwykle dzieci w czasie swych fantastycznych wypraw wakacyjnych. Zawadowski odparł

wówczas, że może to jest rzeczywiście idiotyzm, ale przecież zabawny — i wrzucił mapę do szuflady... W dwa albo trzy lata później robiono ekspertyzę tej rzeczy w Londynie i okazało się, że płótno pochodzi istotnie z XVI wieku i że w tamtym czasie sporządzono szkic. Oczywiście, nikt tego nie traktował poważnie. Również w XVI wieku istnieli kawalarze, którzy się bawili w pirackie skarby... Zawadowski odnosił się do tej mapy przez całe życie z pewnym sentymentem, ale bez żadnych złudzeń. Dopiero teraz, ostatnio... Coś mu się w głowie pomieszało, to pewne...

Engel uważnie spoglądał na szkic wykonany przez Zykunia.

— Jeśli tak właśnie wygląda — powiedział cicho — to rzeczywiście śmiesznie... Jak byłem mały, rysowałem podobne mapy. Leśne podchody, poszukiwanie skarbu i tam dalej... Zgoda! Więc pan powiada, że on wtedy, w grudniu, był przekonany o istnieniu skarbu?

— Trudno powiedzieć, panie poruczniku, ale raczej na to wygląda...

— I nie chciał panu dać tej mapy do ręki?

Zykuń skinął głową.

— Może to była całkiem inna mapa?

— Ależ skąd... Ta sama, co zawsze. Przecież z daleka ją pokazał.

Żadnych zmian nie zauważyłem.

Engel kiwnął głową, zapalił papierosa, zakasłał.

— I Zawadowski powiedział, że to jest prawdziwy skarb? Jego skarb?

—

Tak jest. Właśnie tak powiedział... A nawet więcej, o ile dobrze pamiętam.

— Co mianowicie?

— Kiedy zapytałem ironicznie, ileż to dolarów zawiera skarb z Wyspy Czterech Łotrów, Zawadowski pomyślał chwilę i całkiem poważnie odrzekł, że chyba po

nad dwa miliony... Więc ja na to „Panie Antosiu, w diamentach i szafirach czy w sztabach złota?!” Roześmiał się, wzruszył ramionami i mruknął, że chyba raczej w papierowych banknotach. No, to całkiem zdziwaczał, pomyślałem sobie. Papierowe banknoty w XVI-wiecznej skrzyni pirackiej?! Absurdalne...

— Pan to powiedział głośno, panie Zykuń?!

— Nie, panie poruczniku. Zrobiło mi się trochę głupio, bo wtedy zrozumiałem, że w tym jest coś maniackiego... Więc zmieniłem temat.

— No, tak — mruknął Engel i wstał z kanapy.

IX

— Niech pani się nauczy systematyczności — powiedział Engel.

Siadł w fotelu pod oknem i wydobywszy z kieszeni chustkę —

starannie wycierał nią czoło, a potem wilgotne włosy. W pokoju panował

nieznośny upał, mimo że okno było szeroko otwarte. Nad Floriańską drgał w nagrzanym powietrzu hejnał mariacki.

Panna Ewa nie wyglądała najlepiej. Stojąc na środku małego pokoju, rozglądała się bezradnie, poszukując skrawka wolnego miejsca, gdzie mogłaby ulokować stos trzymany w ramionach książek. . Delikatny pył

przetrzęsanych gruntownie papierów unosił się pod sufitem.

— Proszę to położyć na parapecie — powiedział Engel. — Zaraz przejrzę...

Wykonała jego polecenie. Oparła się

o parapet, zdmuchnęła kosmyk włosów, który opadł jej na czoło.

— To jest całkiem bez sensu — powie

działa znużonym tonem. — W tej masie książek, papierzysków, map, chce pan znaleźć taki drobiazg...

— To nie jest drobiazg, jeśli ma związek z zabiciem człowieka — odparł

Engel i wstał z fotela. Metodycznie, karta po karcie, przeglądał książki złożone na oknie.

— To już wszystko tutaj? — spytał nie odwracając głowy.

— Absolutnie wszystko... Został jeszcze jeden kufer na strychu, ale sam pan widział, że stary i nie otwierany od lat. Więc niemożliwe, żeby...

— Jak z tym skończymy, przyjdzie kolej na kufer — powiedział. — Teraz niech pani sobie odsapnie.

Usiadła w fotelu, zapaliła papierosa. Przymknęła oczy. Słuchała przez chwilę szelestu

przewracanych kart i ciężkiego oddechu Engla.

— Pan żonaty? — zapytała nagle.

— Kawaler — odparł, nie przerywając pracy. — A bo co? Podobam się pani?

Roześmiała się cicho, nie otwierając oczu.

— Teraz już tak... Ale na początku był pan niezbyt miły...

— Ja, proszę pani, mam wyczerpującą pracę. Może się zdarzyć, że moje eleganckie maniere budzą wątpliwości... No, ale cieszę się, że mnie pani teraz dodatnio ocenia.

— I owszem, choć nadal jestem podejrzana...

— Nie jest pani wcale podejrzana.

Wzruszył niechętnie ramionami. Ewa nie otworzyła oczu. Powiedziała cicho:

— W takim razie po co za mną łązi taki leniwy pan, oglądający biustonosze na wystawach sklepowych. Wie pan chyba który? Nieduży brunecik w koszulce polo...

Engel znowu wzruszył ramionami.

— Gdyby ten brunecik panią śledził, nie miałyby pani o tym pojęcia.

On po prostu pilnuje, żeby się pani krzywda nie stała...

Teraz otworzyła oczy i uważnie spojrzała na Engla.

— Więc pan sądzi, że...

— Właśnie tak sędzę. Ale nie musi się pani bać. Ten brunecik ma rączkę jak młot pneumatyczny...

Bardzo dobry pracownik, tylko strasznie kochliwy. Już mu pewnie i pani wpadła w oko...

— Czy pan podejrzewa, że tamten człowiek spróbuje jeszcze raz?

Skinął głową, przeglądając nadal książki. Ewa wstała z fotela, zbliżyła się do okna.

— Czego on może chcieć ode mnie? — powiedziała cicho.

— Nie wiem. Prawdopodobnie obawia się, że go pani rozpozna...

Niewygodny świadek oskarżenia. I to wszystko...

— Dla takich przyczyn nie zabija się przecież człowieka.

— A niby dlaczego nie? Czy będzie wisiał za pani stryja, czy za was dwoje, to mu już całkiem obojętne. Więc stara się zabezpieczyć... Nie wie pani, co to może być?

Podał jej poślizgnięty kartonik, wydobyty z pomiędzy kart książki.

— Pojęcia nie mam — odparła, przyglądając się uważnie — jakaś bardzo stara fotografia...

Nagle podniosła kartonik ku światłu.

— Zaraz panie poruczniku... Ten chłopiec w środku to mój ojciec.

Poznaje. Przecież znam fotografie ojca z tego okresu. Miał wtedy chyba siedem albo osiem lat.

— To łatwo sprawdzić — powiedział Engel — bo jest data na odwrocie.

Rok 1912. Więc to ojciec pani?

— Oczywiście. Ten w środku. Mały.

— A ci dwaj starsi? Może stryj? Nie ma pani innej fotografii stryja?

—

Tak, ten z prawej to stryj. Wygląda tu na jakieś dwanaście lat i to by się zgadzało...

— No, więc ten trzeci to najstarszy

brat — powiedział Engel i pochylił się nad książkami.

— Nie było wcale trzeciego brata, panie poruczniku — odparła Ewa.

Engel wyprostował się, wyjął z jej rąk fotografię.

— Jak to, nie było?! Pani chyba nie pamięta... Zapewne dawno zmarł.

— Nie sędzę, aby mój ojciec miał jeszcze jednego brata. To chyba niemożliwe. Nigdy o tym nie słyszałam...

Engel spoglądał na starą fotografię.

— Ja pani powiadam, że to jest trzeci brat. Tak się wtedy ludzie fotografowali. Brat albo kuzynek... W żadnym razie kolega!

Odłożył fotografię między kartki książki.

— No, zgoda — rzekł i westchnął. — Teraz idziemy na strych.

Obejrzymy sobie kuferek stryjaszka...

Była dziesiąta, kiedy Engel, otrzymawszy wiadomość, wsiadł w samochód i pognął na Floriańską. W stróżówce czekał dzielnicowy. Zameldował w kilku słowach o przebiegu wydarzenia.

Engel usiadł za stołem, zmiotł dłonią okruszyny chleba na ceracie. W pokoju obok uparcie płakało niemowlę. Dozorczy- ni, tęga kobieta, usiadła naprzeciw.
— No, niech pani jeszcze raz dokładnie powtórzy — rzekł Engel.

—
Byłam w bramie, kiedy wszedł z ulicy wysoki jegomość, w ciemnym ubraniu i kapeluszu na głowie. Rozejrzał się. W bramie ciemno, więc mnie jakoś nie dojrzał. Na ulicy słońce — tutaj mrok...

— Zgoda — mruknął Engel.

— Wszedł na klatkę schodową. Ja lu

bię wiedzieć, kto się po domu kręci, więc poszłam za nim. Doszedł do pierwszego piętra, pod drzwi pana Zawadowskiego, nieboszczyka.

Zatrzymał się. Zadzwoił. Czekał chwilę. Znów dzwonił... Wtedy ja zawołałam: — „Panie! tam nikogo nie ma...” Podeszedł do poręczy, popatrzał na mnie z góry, i znów wrócił do drzwi. Znów zadzwonił. A potem zszedł na dół. Wtedy mówię do niego: — „Pana Zawadowskiego w domu nie ma i już nigdy nie będzie...” Gapił się na mnie, potem powiada

„Zawadowski, Zawadowski” — i kiwa głową. Jakby zgłupiał. Więc mówię jeszcze raz: „Zawadowskiego nie ma... Nie żyje!”

— Co on na to? — spytał Engel.

— Ano właśnie... Kiwnął głową, jak gdyby nigdy nic i szybko poszedł.

Byłam zadziwiona, aż mnie zamurowało... Potem dałam znać panu Pietrzykowskiemu. Jak należało...

Dzielnicowy Pietrzykowski skinął głową potwierdzająco.

— Jak wyglądał ten człowiek? — zapytał Engel. — Pamięta pani?

— Pamiętam. Wysoki, chyba metr osiemdziesiąt, szeroki w barach, ale nie tęgi. Tak jakoś zagranicznie ubrany.

— Poznałaby go pani?

— A jakże... Swoją drogą, jakiś dziwny człowiek. Jakby nie rozumiał, co do niego mówiłam...

— Może rzeczywiście nie rozumiał — rzekł Engel. — Wyglądał na cudzoziemca?

— Tak. To chyba nie był tutejszy...

XI

W godzinę potem student nazwiskiem Tomanek, składał zeznanie do protokołu milicyjnego:

Nazywam się Andrzej Tomanek, urodzony w Tarnowie, 19 maja 1947

roku. Jestem studentem UJ. Dzisiaj, o godzinie jedenastej z minutami, w kawiarni „Antyczna”, gdzie piłem kawę — zbliżył się do mnie wysoki mężczyzna, wyglądający na obcokrajowca i zapytał, czy rozumiem po angielsku. Odparłem, że tak. Wtedy powiedział, że ma do mnie interes, na którym mogę zarobić. Zdziwiłem się i powiedziałem, że ja walutą nie handluję. Wtedy oświadczył, że tu nie idzie o walutę, ale o drobną przysługę. Poprosił mnie, żebym się udał do wskazanego domu przy ulicy Floriańskiej i zapytał, kiedy można zastać pana Antoniego Zawadowskiego. Dodał, że tam był, ale ponieważ nie zna języka polskiego, nie mógł się porozumieć, a ogromnie mu zależy na rychłym kontakcie z panem Zawadowskim. Powtórzył, że za tę grzeczność dobrze mi zapłaci. Odparłem, że mogę to zrobić bezinteresownie, bo mam trochę czasu, a jest dobrą tradycją w Polsce, aby okazywać gościnność cudzoziemcom. Poszedłem pod wskazany adres i dowiedziałem się od dozorczyń, że Zawadowski został przed kilku dniami zamordowany w tajemniczych okolicznościach. Byłem tym bardzo wzburzony. Wróciwszy do „Antycznej” powiedziałem o wszystkim cudzoziemcowi. Podziałało to na niego bardzo dziwnie. Najpierw okazał olbrzymie zdumienie, a następnie jeszcze większe zdenerwowanie... Natychmiast pożegnał się i wyszedł. Ja pomyślałem, że ta sprawa jest bardzo tajemnicza i postanowiłem udać się do MO celem poinformowania władz o całym wydarzeniu. To jest wszystko co mam do powiedzenia w tej sprawie.

Podpisano — Andrzej Tomanek.

Majdaj był zdyszany. Włosy miał mokre od potu i deszczu, który siekł miasto nielitościwie od samego rana. Chmury płynęły nisko nad wieżycami krakowskich kościołów, zahaczały o wzgórze wawelskie. Wisła była tego dnia płowa, gruchotana wściekle wielkimi kroplami deszczu.

— Panie poruczniku, powiedział Majdaj. — Mamy tego gościa...

— Nie gorączkuj się, kolego — rzekł Engel. — Gadaj do rzeczy. A najpierw zapal sporta. To ci przeczyści gardziołko, żebyś nie śpiewał fałszywie.

— Panie poruczniku. Obok „Francuskiego” jest parking. Pan zna?

— Ja wszystko znam, kochasiu... No więc jest parking. A na parkingu samochody. A tam gdzie samochody jesteś zwykle ty, kochasiu... To wiem z pamięci. Streszczaj się!

— Volvo, ciemnoniebieskie, typ amazo- nas. Produkcja 67-my rok.

Rejestracja szwedzka.

— Może jeszcze masz rejestrację.

— Mam. UU 86593.

— Co to jest UU? Okrzyk indiański?

— Nie, panie poruczniku. To jest okręg Uppsala. Ja te rzeczy znam..

— Zgoda. Uppsala! Podobno uniwersyteckie miasto. Tak jak Kraków.

Więc co z tą Uppsalą?

— Idę przez parking, patrzę tu, patrzę tam... Stoi tu volvo. Podchodzę, żeby się lepiej przyjrzeć. I co pan na to, panie poruczniku? Ten gość śpi z tyłu jak niemowlę.

— Spał? W samochodzie?

— Przecież mówię wyraźnie. Ten sam gość. Nawet butów nie zmienił.

— I dalej tam śpi?...

— Bez przesady. Właśnie chciałem coś zrobić, kiedy zjawił się przy wozie jakiś facet, szybko wsiadł, zapuścił silnik — i pojechali...

— Gdzie pojechali?

—

Czy ja wiem? Może do Uppsali.

—

Która była godzina?

—

Trzecia z minutami!

— Ty jesteś całkiem pewny, że ten śpiący facet to właśnie nasz kochaś?

— Panie poruczniku, głowę daję!

Engel sięgnął po telefon...

XIII

Na biurku paliła się lampa, ocieniona mlecznym kloszem. Zza uchylonego okna wpływała struga chłodnego, wilgotnego powietrza.

Nareszcie, po tylu dniach, można było oddychać w tym mieście. W ściekach ulicznych szumiała woda. Ulewa przeszła, niebo stało się świeże i czyste. Pojawiły się pierwsze gwiazdy. Lampa na biurku rzucała jasny krąg światła na wypolerowane szkło, suszkę, przybory do pisania i smagłą dłoń majora, który stukał miarowo palcami, w monotonnym rytmie.

— Ja wam coś powiem, Engel — rzekł major i nagle przestał bębnić po szkłe zagiętymi palcami. — Wy macie lekkiego fioła...

— Nie podzielam tego zdania, obywatelu majorze — odparł Engel.

Siedział nieco' odchylony do tyłu, oparty o twarde krzesło, z twarzą w cieniu.

—
Więc jakiś szczeniak, złodziejaszek samochodowy, przynosi wam taką zwariowaną wiadomość i my mamy z tego powodu narażać się na międzypaństwową hecę?

— Czasem nawet złodziej ma rację, obywatelu majorze...

— Wy mnie przestańcie częstować głębokimi sentencjami, Engel. Co za pomysł? Ten facet z „Hotelu Francuskiego” to jest poważna szyszka.

Gość MHZ. Transakcja na setki tysięcy dolarów. Jakaś ruda cynkowa czy coś w tym rodzaju.

—
Mnie żadna ruda nie interesuje. Mnie interesuje ten gość w jasnych butach.

— To właśnie on, Engel,

— Obywatel major wybaczy, ale nie wierzę... To nie może być. Jakaś pomyłka. On spał w tym wozie.

— Nikt nie spał w wozie. Skąd - wy wiecie, że tam siedział ten facet?

— Majdaj się nie myli...

— Oczy bywają zawodne.

— Czytałem kiedyś bardzo mądrą książkę, że wszystko naokoło nas jest urojeniem niedoskonałych zmysłów. Ale jakś, mimo to, żyć trzeba...

— Gdybym was nie znał tyle lat, poruczniku, tobym sobie pomyślał, że z was ironista.

— Mam opinię człowieka bez poczucia humoru, obywatelu majorze.

Cała komenda to mówi. Ciężki gość, ciężki dowcip.

— I ciężki pomysłupek... Czego wy w końcu chcecie? Żebym zatrzymał tego Johanssona? Wyjechał z Krakowa, minął Jędrzejów, jedzie szybko do Warszawy- Wszystko w najlepszym porządku. Poważny człowiek, przedsiębiorca, kontrahent rządu. Czy wy sobie zdajecie sprawę, co będzie, jeśli się taki obrazi? Straty dewizowe kolosalne.

— Tu chodzi o morderstwo, obywatelu majorze.

— Wiem. Nie musicie powtarzać w kółko. Jakie dowody? Zeznanie tego szczeniaka? Z jednej strony zagraniczny kapitalista, a z drugiej osiemnastoletni chuligan, karany za kradzieże i włamania. Co wy sobie wyobrażacie, Engel?

Porucznik pochylił się, jego twarz znalazła się w kręgu światła. Na czole miał kropelki potu.

— A jeśli on wyjedzie z Polski? — powiedział cicho. — Co wtedy?!

— Pośpieszcie się, Engel. Dajcie jakieś poważne dowody. Wtedy —
tak!

Engel westchnął.

— Tu coś w ogóle nie gra. Pan Johansson przyjechał do Krakowa w dwa dni po zabójstwie Zawadowskiego. Więc ten w jasnych butach nie może być Johanssonem. Zresztą to chyba jasne, obywatelu majorze.

Taki gość nie sypia w samochodzie na parkingu, kiedy jego szofer siedzi w hotelu, w restauracji. Nawet jak na Szwecję to jest za bardzo demokratycznie... Wszyscy zeznają zgodnie, że Johansson wysoki, włosy ciemne i tak dalej... Majdaj tego faceta, który wyszedł z „Francuskiego”, dokładnie nie oglądał. Może ten, którego uważamy za kierowcę, to właśnie Johansson? Ten sam, który dziś rano szukał Zawadowskiego...

Na biurku zadzwonił telefon. Major podniósł słuchawkę.

— Tak... No, słucham. Głośniej mówcie! Jesteście pewni? Nie. Ja się tego spodziewałem... Dziękuję. Cześć.

Położył słuchawkę i spoglądał długo na Engla.

— No, to teraz możecie dać dobrze w kość temu gówniarzowi...

— Mianowicie, obywatelu majorze?

— Eył meldunek z Jędrzejowa, jeśli was to interesuje. Volvo UU 86593, kolor ciemnoniebieski.

— Zgadza się...

— Tankował benzynę. Samotny gość w brązowym garniturze. Niezbyt wysoki. W okularach. Powtarzam — samotny gość. Przyśniło się temu szczeniakowi...

Engel wstał.

— Obywatel major pozwoli się odmelować?

— No pewnie... Najwyższy czas.

— Obywatel major pozwoli jeszcze słoweczko?

Major skinął głową. Odetchnął głęboko, przymknął oczy.

— Ja bym gorąco prosił o opiekę nad tym samochodem. Mimo wszystko! Ten gość w jasnych butach wysiadł gdzieś po drodze.

— Wy w to wierzycie, Engel?

— Ja w nic nie wierzę, obywatelu majorze. Ale właśnie dlatego uważam, że wszystko jest możliwe. Obywatel major pozwoli, że trochę poszperamy między Miechowem i Jędrzejowem?

Major znów bębnił w biurko zakrzywionymi palcami.

XIV

— Uważaj na nią, Grzesiu — powiedział Engel. — To jest sprytna dziewczuszka. Do tego stopnia, że już się zorientowała w twojej roli. Ale sam spryt tutaj nie pomoże...

— Żeby ona mniej ruszała się po mieście — powiedział wywiadowca Grześ. — Już nóg nie czuję. Lata i lata...

— Spacer to zdrowie — odparł Engel.

— Zresztą dzisiaj masz ulgowy dzień. Panna Ewa pracuje przy dekoracjach w Domu Kultury. Tam ma doskonałą opiekę. Wypoczniesz...

Siedzieli sobie na ławeczce w cieniu rosnących lip, na Plantach. Grześ jadł lody. Jego język związał się jak wytresowany wąż. Grześ wyglądał na chłopca, ale te pozory już niejednego wprowadziły w błąd.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Grześ. — Daleko czy blisko?

— Tego nigdy nie można wiedzieć —

odrzekł porucznik. Zdjął czapkę, wycierał ją starannie chustką. Potem czapkę odłożył na ławkę, rozsiadł się wygodniej, wyciągnął nogi przed siebie i zamknął oczy.

— Będziesz spał? — spytał Grześ.

— Nie... Będę myślał.

— Właściwie to ty masz świetną robotę. Siedzisz i myślisz. Kiedy ja latam z wywieszonym ozorem po całym mieście, ty siedzisz za biurkiem i medytujesz. Powiedz wreszcie, co w końcu wymyśliłeś?!

— Mapa — odparł Engel. — Morderca zabrał mapę.

— Edek, puknij się w głowę — rzekł Grześ i przełknął lody. — Kto w dzisiejszych czasach, w królewskim mieście Krakowie, poluje na jakiś idiotyczny rysunek piratów sprzed pięciuset laty?

— Dokładnie z końca szesnastego wieku. To oczywiście brzmi śmiesznie, ale jednak mapa zginęła.

— Pomyśl tylko. Dajmy na to, że ktoś zwariował na punkcie tego skarbu. Skąd wiedział o istnieniu mapy u Zawadowskiego?

— O tym wiedziało mnóstwo osób...

— I jakiś facet z Myślenic na przykład, postanowił się wybrać na Morze Karaibskie. Poszedł do wojewódzkiej komendy i powiedział

„Panowie, proszę o paszport do Ameryki, ponieważ chcę tam pogrzebać w ziemi i odkopać skarb”... Tak to sobie wyobrażasz?

— Mapa zginęła. Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z zagraniczną robotą. Za dużo tutaj komplikacji, jak na nasze obyczaje.

Jeszcze tylko potrzeba, żeby zaczęli strzelać z amerykańskich pułkówek i będziemy mieli prawdziwą gangsterską historię. To tak pasuje do Krakowa jak pięść do nosa.

Zamilkł na chwilę. Łagodny wietrzyk owiewał mu twarz.

— Sam przyznajesz, Grzesiu, że ten numer z nylonową pończochą jest importowany. Ja ci coś powiem. Mam czterdzieści osiem lat i trochę doświadczenia. My pracujemy coraz nowocześniej, ale to musi iść w parze z metodami, które stosowano w dawnych czasach.

— Sherlock Holmes na przykład — powiedział Grześ.

— Może nie aż tak daleko... Ale trochę fantazji. Nie tylko dowody materialne, nie tylko metody laboratoryjne. Coś ze sztuki!

— Ty zawsze lubisz plątać. Mimo to masz jakiś zmysł, Edek.

Wyglądasz jak wykidajło, ale siedzi w tobie kawałek poety.

— Popracować wyobraźnią, ot to! Nylonowa pończocha. Facet w białych zamszowych butach morduje człowieka przy użyciu nylonowej pończochy i rozplywa się we mgle, nie zostawiając żadnych śladów. Co to ma wspólnego z naszą tradycją? To wszystko jest za okrutne i za czyste jednocześnie. I dlatego doszedłem do pewnych wniosków, Grzesiu. Są trochę zaskakujące.

— Mianowicie?

— Hipoteza robocza brzmi: wynajęty morderca!!

— Żartujesz — powiedział Grześ.

— On nie znał swojej ofiary. Wszedł, powiedział coś, co wzbudziło zaufanie Zawadowskiego, zabił starego i wyszedł, nawet nie zamykając drzwi... Pracował w rękawiczkach. Żadnych śladów. Żadnego — rabunku.

Obcy człowiek zabija obcego człowieka. Bez osobistego motywu.

— Skąd to wiesz?

— Przypuszczam tylko... Ale są pewne przesłanki. Ta historia w autobusie nie dawała mi spokoju. Dziewczyna poznała mordercę, a morderca nie poznał dziewczyny, choć właśnie zamierzał ją zgładzić. Co to znaczy?

— Czysty przypadek...

— Może tak, a może nie... Jeśli moja hipoteza jest słuszna, to on nigdy przedtem nie widział panny Zawadowskiej. Po wiedziano mu „zabij i jechał wykonać polecenie. Znał adres, ale nie znał ofiary. Gdyby ją zastał w mieszkaniu — mielibyśmy następne zwłoki. Ale nie miał szczęścia. Więc czekał pod drzwiami. Kiedy go ujrzała i zaczęła uciekać — zorientował się, że to właśnie osoba, na którą miał zapolować...

To jeszcze o czymś świadczy!

Grześ pokiwał głową z powątpiewaniem.

— O niczym nie świadczy, Edek.

— I owszem! On się dopiero wtedy zorientował, że Zawadowska ma powody, do strachu... Przecież uciekła z półpiętra... Mało to ludzi czeka na klatkach schodowych? I nikt przed nimi nie nawiewa...

— Ale przecież sam mówiłeś, że on chce ją sprzątnąć jako świadka...

To by się zgadzało.

— Niezupełnie, kochasiu. Widziała go przez sekundę, w cieniu. Nie musiała kojarzyć jego osoby z zabójstwem stryja. Poza tym ten autobus.

Nie mam wcale pewności, ale przecież nie daje mi spokoju myśl, że on miał sprzątnąć oboje. Najpierw starego, potem pannę. Teraz uważaj.

Jeśli się nie mylę, to już nigdy więcej nie zobaczymy faceta w jasnych, zamszowych butach. Ale Zawadowskiej trzeba pilnować bardzo starannie.

Człowiek, którego nazywano we wsi Mróweczką, z powodu jego niepozornej figury i zdumiewającej pracowitości, szedł skrajem lasu, dźwigając na plecach worek siana. Było dobrze wyschnięte, ale na-pakował go tak wiele, że dźwigał ciężar nie lada. Szedł więc powoli, przeklinając

swoją pracowitość, od której nie umiał się wyzwolić. Słońce stało wysoko, paliło niemiłosiernie i Mróweczką czuł, jak struzki potu spływają mu po plecach, pod ciężarem worka. Powiedział sobie, że bez odpoczynku doniesie siano na kraj wsi, ale z wolna tracił nadzieję. W rozedrganym powietrzu widział przed sobą wieżę kościelną i zarysy pierwszych zabudowań, lecz droga stała się piaszczysta i nogi Mróweczki słabły coraz bardziej.

Wreszcie zbuntował się przeciw własnej, nazbyt pracowitej naturze, wlaźł między drzewa, rzucił worek na ziemię i położył się obok. Przez chwilę miał oczy zamknięte, ale zaraz się opamiętał, bo chwycił go lęk, że zaśnie i straci zbyt wiele cennego czasu, przeznaczonego na bogobojną pracę. Więc leżał sobie i gapił się na korony drzew, przez które sączyło się słońce. A potem zmienił pozycję, obrócił się na brzuch i patrzył w ziemię.

Pośród traw maszerował chrząszcz. Statecznie, rytmicznie, bez wahań — szedł, przeciskając się w gąszczu, coraz dalej i dalej. Mróweczka, który nie dość, że był pracowity, ale nadto kochał przyrodę i wszelkie stworzenie boże — śledził uważnie, z niejakim współczuciem, spacer chrząszcza.

Nagle chrząszcz zawahał się przez moment, bo mu na drodze wyrosło jakieś urwiste zbocze, ale zaraz jął się wspinać mozolnie po chropowatej, niemal prostopadłej ścianie. Dla chrząszcza była to przeszkoda straszliwa, ale Mróweczką stwierdził natychmiast, że jest to podeszwa męskiego buta, więc go chrząszcz przestał interesować. Mróweczką był człowiekiem towarzyskim i rozmownym.

— Panie — powiedział — tu spać nie wolno... Las rządowy. Mróweczką zawsze był lojalny i obowiązkowy wobec przepisów prawa. Ale człowiek dalej leżał na plecach i ani drgnął. Więc Mróweczką wstał rażno, zbliżył się i powiedział:

— Panie szanowny...

Nie dokończył i rzucił się do ucieczki, zostawiając pod drzewem porzucony worek. Był bowiem wprawdzie człowiekiem bardzo pracowitym, ale jeszcze bardziej lęklwym.

Biegł piaszczystą drożyną niemal bez tchu, aż dopadł plebanii. Ksiądz proboszcz siedział na ganku i pił zsiadłe mleko. Wokół warg osiadała mu gęsta, biała śmietana.

XVI

Wysiedli z samochodu pod samym lasem. Wóz z ekipą zatrzymał się nie opodal. Engel poprawił pas, powiedział:

— Znowu przytyłem..

Kalinowski uśmiechnął się cierpko.

— No, to prowadźcie — rzekł Engel.

Mróweczka poszedł przodem, ale gdy znalazł się między drzewami — zatrzymał się.

—

Ja się nieboszczyków boję — powiedział cicho. — To tutaj...

Kalinowski rozgarnął splątane krzaki jałowca. Engel spojrział z góry na zwłoki.

—

No, to niech robią, co do nich należy — mruknął.

Poszedł w las, siadł pod drzewem, zajął czapkę, wytarł ją wewnątrz do su-cha, przymknął oczy. Jakiś ptak śpiewał mu nad głową, w ciszy leśnej rozlegały się przytłumione głosy pracowników ekipy, trzaskały deptane gałązki. Ktoś robił zdjęcia, lekarz dokonywał oględzin zwłok.

Do Engla zbliżył się Kalinowski.

—

Zdaje się, że miałeś dobrego nosa — powiedział. — To będzie chyba ten gość...

— Sprawdzimy — odparł Engel. — Jak to długo potrwa?

— Jeszcze jakiś czas...

— Dobry dzień rzekł Engel. — Można posiedzieć na łonie natury. Co on miał przy sobie?

— Umrzesz ze śmiechu... Nic!

— Właśnie tak myślałem. Ale mam nadzieję, że chłopaki wytrząsną każdą okruszynę. Teraz na tym będziemy budowali całą sprawę...

—
No, więc to jest ten gość, obywatelu majorze — powiedział Engel. —

Panna Zawadowska i Majdaj zidentyfikowali zwłoki bez wahania.

— Dawajcie szczegóły — rzekł major. —

I nie palcie tyle. Od palenia można dostać raka... A ja bym wolał, żebyście dostali awans.

— Ja też bym wolał — odpowiedział Engel i niechętnie zgasił

papierosa w popielniczce. — Więc przy nim nie znaleziono prawie nic.

Ale jednak coś... Wszystko na nim zagraniczne. Garnitur, buty, skarpetki, koszula, nawet za przeproszeniem — gacie. Produkcja amerykańska. Oni się nawet nie pokwapili, żeby wypruć znaki firmowe.

— Więc mieliście rację, Engel!

— Niezupełnie, obywatelu majorze. Myślałem, że to nasz człowiek, tyle że kupiony. Za forszę i ciuchy.

— Tak może przecież być...

— Chyba nie. Buty, garnitur — to można człowiekowi dać. Ale kalesony? To nie był Polak, obywatelu majorze.

— Sprawa się upraszcza. Tym łatwiej będzie ustalić tożsamość.

— Na pewno. Ale to potrwa. A my powinniśmy się spieszyć.

— Dlaczego?

Engel jednak sięgnął po papierosa, zapalił szybko, zaciągnął się.

— Obywatelu majorze. Gość zastrzelony z amerykańskiej broni, duży kaliber. U nas się takich rzeczy nie spotyka. Sprawa wykracza poza Polskę. Nawet poza Europę.

— Ta mapa, co?!

— Chyba jednak mapa... Hipoteza moja jest następująca: walczyli o tę mapę. Terr nieboszczyk spod Słomnik zabił starego i już był u celu. Ale inni deptali mu po piętach. Dopadli. Kula w łeb. Zabrali mapę. Tak to wygląda...

— Posłuchajcie mnie, poruczniku — rzekł poważnie major. — To jest możliwe, ale jednak mało prawdopodobne. Walka amerykańskich gangów w Polsce Ludowej?! Zabijanie ludzi po to, żeby dostać do ręki jakiś zwariowany rysunek, dotyczący legendarnego skarbu z XVI wieku?

To jest dobre do kryminalnej powieści, ale w życiu nie może się zdarzyć...

Za dużo fantazji.

— Już o tym myślałem, obywatelu majorze. Sam jestem skwaszony.

Ale jednak... Przecież nie ulega kwestii, że ktoś tego człowieka zabił z amerykańskiej broni. I ktoś mu wypróżnił kieszenie i nie zostawił żadnych śladów.

— Żadnych?

— Jest domniemanie, że ludzie, którzy złożyli ciało w lesie, poruszali się ostrożnie. Droga obok pełna jest piachu, mnóstwo najprzeróżniejszych śladów, ale niemal żadnych, które byłyby nam potrzebne. Od szosy jest ponad trzysta metrów, łąką, potem dróżka przy lesie. Tamtędy samochód nie jechał... Kropnęli faceta w wozie, potem wywlekli ciało i porzucili. Robota dobrze zorganizowanych fachowców.

— Kilku?

— To kawał mężczyzny, obywatelu majorze. Jeden człowiek nie dałby rady przytaszczyć ciała taki kawał drogi. Jest jeszcze pewien ślad. W kieszeni marynarki znaleziono bardzo ciekawe drobiazgi...

Engel pochylił się w stronę biurka.

— Skrawek gazety, tyle co nic. Ale, bez kwestii, to jest amerykańska gazeta.

— Jaka gazeta?

—

Mieliśmy trochę szczęścia. Chicago Sun...

— Data?

— Dojdziemy. Daty nie ma, ale jest kawałeczek tekstu. Tekst bez znaczenia. Jakieś ogłoszenie plastikowych opon do rowerów.

— Będzie trudno znaleźć.

—

Przejrzy się cały rocznik. Porówna. Coś musiało być w tej gazecie...

— Albo czysty przypadek.

—

Wtedy przegramy, obywatelu majorze.

— Co jeszcze?

—

Resztki gumy do żucia. On sobie żarł gumę, potem ją chował, znowu żarł. Jak w kinie...

— Właśnie. Za dużo tu kina...

— Amerykańskie filmy są realistyczne. Oni tam nie wymyślają sytuacji z powietrza. Jeśli u nich na filmie ktoś żuje gumę i przyklepia ją potem do swojej spluwy, to znaczy, że tak bywa w życiu.

Poruszamy się na obcym gruncie, obywatelu majorze. Dlatego tak ciężko. Zaczynam tęsknić do naszej codzienności. Jakieś manko, napad na spółdzielnię, rabunek wypłaty w teczce... Ale coś takiego?

Teraz czekam, kiedy się zacznie strzelanina.

— Ja wam dam strzelaninę, Engel!!

—

Jeśli będzie trzeba, to postrzelamy, obywatelu majorze...

— Tu nie jest Teksas.

—

Ale może być, obywatelu majorze. Coś mi się zdaje, że Teksas zjechał do Krakowa.

XVIII

Zegar wskazywał kwadrans przed jedenastą. Okno było otwarte, lekki wiatr poruszał firanką. W pokoju paliła się mała lampka, ocieniona zielonym abażurem. Błękitnie jarzył się ekran telewizora. Było cicho i spokojnie. Morawski, zagłębiony w fotelu, spoglądał w ekran. Ewa poszła do kuchenki, aby zmyć naczynia po kolacji. Powiedziała:

— Opowiesz mi, co będzie dalej...

— Już go mają — odparł Morawski.

— Tego mordercę?

— Nie... Skąd wiesz, kto jest mordercą? Mają Delona.

— Rozumiem... Zaraz wracam...

Odkręciła kran. Woda spływała żwawo,

rozpryskiwała się na białej emalii zlewozmywaka. Padł strzał.

— On się ostrzeliwuje... Chyba będzie wiał- przez dach — powiedział

Morawski.

Ewa - splukwała szklanki po herbacie. Gdzieś na dole, w głębi ulicy, niegłośnie zatrzymał się samochód, trzasnęły drzwiczki. Muzyka z telewizora. Ewa- zdjęła z wieszaka ściereczkę i starannie osuszyła szklanki. Samochód odjechał. Muzyka urwała się nagle.

— Wszedł na dach — powiedział Morawski. — Oni wpadają do mieszkania na ostatnim piętrze.

Jacyś ludzie szli po schodach. Ewa strzepnęła ściereczkę. Ustawiała talerze na suszarce. Potrącony talerz wydał miły dźwięk. Muzyka zabrzmiała przejmująco.

— Są na dachu. On włazi za jakiś komin — powiedział Morawski.

Ktoś zatrzymał się przed drzwiami. Rozległ się dzwonek.

— Która godzina? — spytała Ewa.

Morawski rzucił szybkie spojrzenie na zegarek.

—

Dochodzi jeclenasta. Zaraz^będą go mieli...

Ewa przeszła przez pokój. Ujrzała na moment skuloną postać Delona z wycelowanym rewolwerem. Twarz Delona była mokra od potu. Toczył grę o życie.

— Kto to może być? — powiedziała Ewa, otwierając drzwi. Za nią, z tyłu, padł głośny strzał. To Delon otworzył ogień do policjantów. Uchyliła drzwi. Zobaczyła ciemną postać mężczyzny w kapeluszu, zobaczyła lufę pistoletu, krzyknęła rozpaczliwie. Jeden strzał, potem drugi i trzeci.

Strzelali obaj. Delon na dachu i ten człowiek u progu drzwi. Ewa upadła na podłogę. Morawski zerwał się z fotela. Mężczyzna przy drzwiach dojrzał go, strzelił... Morawski zahaczył ramieniem o sznujr lampy, lampa spadła, zgasła. Policjanci strzelali do Delona, kryjąc się w cieniu przewodów kominowych. Jeden z nich spadał, toczył się po spadzi- stości dachu, z jego ust wydobywał się rozpaczliwy krzyk.

Mężczyzna w drzwiach cofnął się pół kroku, Morawski ujrzał szybki błysk spoza ramion tamtego. To strzelił drugi człowiek, stojący w głębi.

Poniżej, na schodach rozległy się szybkie kroki. W oknie naprzeciwko zabłysło światło. Tuż za Murawskim rozległ się ogłuszający huk, telewizor rozjarzył się, jak ogarnięty gwałtownym pożarem — i zgasł. Posypały się odłamki szkła. Jakiś głos z dołu krzyknął: milicja!! — i raptownie umilkł.

Morawski poczuł silny ból w lewym przedramieniu, rzucił się do przodu, w mrok, gdzie stali

tamci dwaj. Ale trafił w pustkę. Słyszał gwałtowne kroki na schodach. Zakręciło mu się w głowie. Oparł się o ścianę.

— Ewa! — krzyknął.

Jęknęła.

XIX

Wywiadowca Grześ biegł tratując rabaty kwiatowe na skwerze. Za rogiem rozległ się przejmujący gwizdek milicyjny. Dwie sylwetki roślących, wysokich mężczyzn zniknęły za ścianą domu. Grześ był jednak szybki. Miał nad tamtymi przewagę. Znał teren.

Runął z impetem w klatkę schodową domu, stojącego po przekątnej skweru, przebiegł korytarz, słabo oświetlony jarzeniówką, i wypadł na ulicę z drugiej strony. Zobaczył na przeciwległym chodniku milicjanta, który stał na szeroko rozstawionych nogach i gwizdał. Dwaj mężczyźni z pistoletami w dłoniach biegli wprost na niego. Milicjant przestał gwizdać, zawołał przeraźliwie: Stój! Stój!

— szarpnął kaburę. Rozległ się strzał, milicjant zatoczył się, chwycił lewą dłonią za szyję. Grześ strzelił. Prysnał odłupany asfalt jezdni. Zobaczyli go teraz, ten biegnący z tyłu wymierzył i strzelił. Kula zagwizdała przeciągle. Milicjant upadł, ale prawą ręką uparcie gmerał przy kaburze. Jeden z mężczyzn, przebiegając tuż obok — wypalił do leżącego.

Milicjant znieruchomiał. Gdzieś za domami rozległ się krzyk, z bramy nie opodal wyprysnął mężczyzna w granatowych spodniach i podkoszulce.

Grześ przebiegł ukośnie jezdnię.

Mężczyzna w podkoszulce stanął na moment nieruchomo, krzyknął i zderzył się straszliwie z biegnącym mężczyzną. Potoczyli się obaj na chodnik. Grześ strzelił... Niecelnie! Drugi z uciekających zakręcił się na pięcie, zmienił kierunek, uskoczył ku placom budowy, rozciągającym się za nowo wzniesionymi blokami.

Milicjant pojękiwał cicho. Cienka strużka krwi spływała po chodniku.

- Będę szalenie wdzięczny, jeśli pan doktor jednak sobie przypomni
- powiedział Engel. Miało to zabrzmieć ciepło, ale Chlebowicz poczuł się lekko dotknięty.
- Proszę mnie tak nie naciskać, bo na to nie zasłużyłem — odparł.

Siedzieli w gabinecie Chlebowicza, w szpitalu. Drzwi na korytarz były uchylone. Weszła pielęgniarka.

- Panie doktorze, telefonuje docent Prokosz.
- To dlaczego pani tu nie łączy?...
- Nie wiedziałam, czy można przeszkadzać.
- To fakt — mruknął Chlebowicz. — Niech docent zadzwoni za godzinę.
- Tak długo czasu zabierać nie będę — wtrącił Engel i uśmiechnął się.

Siedział na filigranowym krzeselku, które odgniało mu pośladki.

Wyglądał jak tresowany niedźwiedź w cyrku.

Pielęgniarka wyszła, zamykając za sobą drzwi. Chlebowicz wydobył fajkę.

Zapachniało śliwkami.

- Więc o ile dobrze pamiętam, coś się w tej mapie zmieniło.

- W rysunku mapy? — zapytał Engel.

— Nie umiem powiedzieć. Ale ilekroć przedtem chciałem ją wziąć do ręki, Zawadowski chętnie podawał mi passe-par-tout. Ostatnim razem, choć przecież proponowałem transakcję, nie miał ochoty wręczyć mi mapy.

- Kiedy panu przyszło do głowy, żeby ją kupić?

— Nie tak dawno... Przypomniałem sobie o jej istnieniu, bo mi wpadła do ręki książka o przygodach korsarskich.

- Pan czyta takie rzeczy? — zdziwił się porucznik.

— Nie ja, tylko mój dziesięcioletni syn. Przyszedł do mnie i wypytywał o jakieś szczegóły. Wtedy pomyślałem, że taka Wyspa Czterech Łotrów to byłby ładny prezent dla mojego chłopca.

- Ile pan chciał zapłacić za tę mapę?

Chlebowicz starannie zapalił fajkę. Milczał chwilę.

— Proszę pana, to nie jest właściwie postawione pytanie. Chciałbym dać jak najmniej. Zawadowski chciałby wziąć jak najwięcej!

- Zgoda — rzekł Engel. — Więc inaczej. He ta mapa była warta?

— Dla zbieracza cennych druków nie była wiele warta. Ale dla hobbysty...

- Z panem ciężko się rozmawia. Czy pan może podać orientacyjną cenę?

— No, cóż. Ja nie dałbym więcej jak 500 albo 700 złotych. Ale przy nadarzającej się okazji Zawadowski mógłby osiągnąć nawet 1500 złotych.

Engel zasępił się.

- 1500, powiada pan?! A więcej?

— Więcej chyba nie! To nie miało żadnej wartości artystycznej. Bardzo prymitywne wykonanie.

- A jednak z powodu tej mapy zginęło już dwóch ludzi.

— Pan żartuje! — zawołał Chlebowicz. Wstał z krzesła — Pan chyba nie łączy sprawy zabójstwa Zawadowskiego z tą mapą?! Toż to absurd...

- Właśnie, że łączę, panie doktorze.

Chlebowicz był coraz bardziej podniecony.

— Ośmielam się twierdzić, że to jest fałszywy trop. Pan doprawdy wierzy w związek pomiędzy tą mapą, a jakimś skarbem?

Engel skinął głową. Chlebowicz spoglądał na niego zdumiony.

— To się w głowie nie mieści!

—

Wiem — mruknął Engel! — Ale niech pan sobie lepiej przypomni, co było z tą mapą, kiedy widział ją pan po raz ostatni...

Chlebowicz znów rozpalał fajkę. Twarz miał wzburzoną.

—

Ot, mapa jak mapa... Tyle, że coś przy niej było...

— Na niej czy przy niej?

—

A któż by mazał po mapie? Dziecko chyba...

—

Czy to była jakaś kartka, jakaś notatka?

Chlebowicz wzruszył ramionami.

—

Nie pamiętam... Coś tam było. Może kartka. A może róg mapy się zagiął...

—

Żaglowe płótno, stare... Przecież to było w passe-partout, więc się nie mogło zagiąć.

—

Słusznie — powiedział Chlebowicz.. — a więc chyba kartka...

—

To by się raczej zgadzało — mruknął Engel.

—
Teraz zabiorą mi sprawę — powie- dział Engel.

Kalinowski milczał, spoglądając w okno. Engel wstał ociężale zza biurka, wyszedł na środek pokoju.

—
Przyjechał Lewicki z Warszawy. Idę do starego. Nagadają mi.

— Nie martw się — powiedział Kalinowski bez przekonania. Nadal patrzył w okno.

Engel wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi. Przemierzał z wolna korytarz, gdzie pachniało kurzem i ciepłem.

Poprawił machinalnie pas na brzuchu. Wbrew własnemu przekonaniu, wcale nie utył, a przeciwnie — schudł. W ogóle zmarniał. Oczy miał cokolwiek zmętniałe, policzki opuchnięte, fałdy na szyi. W kieszeniach kurtki plątały się połamane sporty. Pachniał kwaśno. Pomyślał, że jest stary i powinien pojechać na ryby.

Major nie był wcale zły. Raczej markotny. Lewicki z Warszawy, w cywilnym garniturze, koszuli non-iron i krawacie w prążki — prześlicznie pachniał lawendą. Kiedy Engel wszedł, Lewicki stojąc przy oknie, odwrócił głowę i powiedział przyjaźnie:

— Czołem, poruczniku. Dawnośmy się 'nie widzieli.

Głos miał dźwięczny i świeży jakby przed chwilą wyszedł z wanny.

— Porucznik Engel melduje się, obywatelu majorze.

Stuknął obcasami raz, potem drugi raz — zwracając głowę do Lewickiego.

— Siadajcie — powiedział major.

Kazał siadać przy owalnym stoliczku

pod oknem, nie — jak zwykle — przed biurkiem. Lewicki zapalił papierosa, założył nogę na nogę.

— Kłopot — powiedział.

Major skinął głową. Engel skinął głową. Lewicki skinął głową.

— Gdzie jesteście, poruczniku? — spytał major.

— Daleko od początku, obywatelu ma- jorze, ale daleko od końca.

— Gładko powiedziane — rzekł Lewicki i uśmiechnął się. — Ale ten wasz wywiadowca skrewił okrutnie. Takie numery nie przechodzą...

—
Obywatelu pułkowniku — powiedział Engel cicho. — On nie miał innej możliwości. Tam szło o życie człowieka...

— Ja rozumiem — przerwał Lewicki. — Mimo wszystko, tak nerwowo działać niepodobna...

—
Obywatel pułkownik pozwoli, że wyjaśnię — upierał się Engel. —

Tamci dwaj strzelali jak wariaci. To się u nas nigdy jeszcze nie zdarzyło.

Zupełnie za

skakujące metody. Wywiadowca Wiśniewski został zmuszony do użycia broni... Pozwalam sobie zauważyć, że tamci wystrzelili siedem pocisków.

To jest bez precedensu w takiej krótkiej chwili. Prawdziwy Teksas, jeśli tak można powiedzieć... Zaskoczenie obustronne.

— Dlaczego obustronne? — przerwał Lewicki. Słuchał bardzo uważnie, czujnie.

— Kiedy się strzela w Chicago, nikt się nie wtrąca. Tam nie ma mowy, żeby ktoś reagował, tak jak u nas... Oni byli tym zaskoczeni. Ni stąd ni zowąd — nagie ludzie na ulicy! Krzyk, raban... Są przyzwyczajeni do innej roboty. To im pomieszało szyki. Gdzież jest w Ameryce do pomyślenia, żeby całkiem przygodny człowiek rzucał się na bandziora uzbrojonego w pistolet? Jestem pewien, że oni nie chcieli takiego hałasu. Ale skoro już przyszło do próby sił — poszli na całego. Ten mechanik samochodowy, jego nazwisko Masłowski, byłby życiem przypłacił, gdyby nie nasz wywiadowca. Wiśniewski strzelił w ostatniej chwili, kiedy tamten gość już naciskał spust, już kończył z Masłowskim... Mechanik żyje tylko dzięki Wiśniewskiemu...

— Ale Bert Mitchell nie żyje, poruczniku. I już nie powie ani słowa.

Trzeba było żywcem brać, a nie pukać jak w par-tyzance.

— Obywatelu pułkowniku, to są twardzi ludzie, ci panowie w wielkich kapeluszach. Oni są na obcym terenie i grają o wielką stawkę...

— O jaką stawkę, Engel? Ta mapa?

— Wszystko wskazuje, że właśnie mapa, obywatelu pułkowniku. Ja sam tego nie rozumiem, ale przecież...

Lewicki wstał nagle z fotela, zaczął się przechadzać po gabinecie.

— To ja wam coś powiem! Znam sprawę z grubsza. Przeczytałem to i owo przed przyjazdem do Krakowa. Ta Wyspa Czterech Łotrów to jest legenda. Żeglarska bajeczka... Pogadajcie z naszymi marynarzami. Prawie każdy ją zna. Setki razy ludzie pływali wokół tej wyspy. Bo ona rzeczywiście istnieje. W pobliżu Tobago. Jeszcze przed wojną Anglicy założyli tam niedużą bazę remontową dla floty, która łowi na Karaibach. Cała wyspa złażona wzdłuż i wszerz. Poszukiwania ropy i tak dalej... Żadnych skarbów. Wybijcie sobie tę mapę z głowy, Engel. Trup pada gęsto, a Wy się bawicie jak dziecko.

Engel wstał. Jego szara twarz nabrała ciemniejszego tonu.

— No, nie bierzcie tego tak do serca, poruczniku — powiedział

Lewicki. — Wszyscy błądzimy. Siadajcie! My was znamy od lat, jesteście człowiek rzetelny, poważny, ufamy wam. Zostawcie tę mapę w spokoju i powiedzcie, co się dzieje w tej sprawie...

Engel odparł, stojąc:

— Są dane następujące. Zastrzelony przestępca nazywał się Bert Mitchell, obywatel amerykański, przedsiębiorca, zamieszkały w Chicago, Ildewood Bay 1422. Przybył do Polski w charakterze kontrahenta

„Hortexu”, rzekomo celem nabycia wielkiej partii ocukrzonych trus-kawek. Duża transakcja. Paszport i wiza w porządku. Znalaziono broń Mitchella. Z tej broni został zabity człowiek pod Słownikami, o nieustalonej dotychczas tożsamości, który prawdopodobnie dokonał

zabójstwa Zawadowskiego. Przy Mitchellu znaleziono również, poza osobistymi drobiazgami, które poddane są obecnie szczegółowemu badaniu, kartkę, na której widniał skreślony długopisem zagranicznej produkcji dokładny adres Ewy Zawadowskiej oraz słowo Ike, co zapewne oznacza imię męskie... Zastrzelony Mitchell został zidentyfikowany przez świadków jako ten, który poszukiwał Zawadowskiego i prosił w tej sprawie o pomoc studenta Tomanka.

Engel przerwał na chwilę. Lewicki powiedział:

— Gładkie... A wasze hipotezy?

Engel milczał.

— No, mówcie — rzekł Lewicki.

Engel milczał.

— Nic wam do głowy nie przyszło?

—

I owszem — powiedział Engel. — Ale obywatel pułkownik ma niechętny stosunek do kartografii...

Lewicki roześmiał się.

— Gadajcie, śmiało... Znów ta mapa?

—

Tak jest. To wszystko, jak na razie, kręci się wokół mapy. I nic na to nie poradzę. Jedyne, jakiej nie sposób odnaleźć w mieszkaniu Zawadowskiego, to właśnie ta nieszczęsna mapa. Zniknęła wraz z zabójcą...

— Czy to pewne? — spytał Lewicki.

—

Nie — odparł Engel. — Ale jeszcze trzy tygodnie temu była, a teraz przepadła...

— Szukaliście dobrze?

Engel skrzywił się.

—

Ja umiem szukać, obywatelu pułkownika. Ale zaginięcie mapy nie świadczyłoby jeszcze o czymś szczególnym, gdyby nie fakt, że Zawadowski od pewnego czasu przywiązywał do tego przedmiotu jakieś wielkie znaczenie. Coś się w jego stosunku do tej mapy zmieniło... I sama mapa się zmieniła.

— Mianowicie?

—

Doktor Chlebowicz oświadcza, że ta mapa, kiedy ją widział przed miesiącem, była jakaś inna. Nie potrafił dokładnie określić, ale bez wątplenia mapa była zmieniona. Ja myślę, że wiem, o co chodzi...

Lewicki przystanął na środku gabinetu.

— Więc?

—

To jest jakaś notatka, uzupełniająca tę mapę. Notatka, która nadaje mapie nowy, ważny sens...

Lewicki wzruszył ramionami niecierpliwie.

—

Już wam mówiłem, poruczniku, że na tej cholernej wyspie nie ma żadnego skarbu. Przekopana metr po metrze w poszukiwaniu ropy naftowej. Jaki znowu sens uzupełniająca mapę?!

— Tego nie wiem, obywatelu pułkownika, ale innej hipotezy nie mam.

Mapa zniknęła wraz z zabójcą Zawadowskiego. Następnie ten zabójca zostaje zamordowany. Bez wątplenia chodziło o odebranie mapy.

Wszystko gra!

— A co ma z tym wspólnego Ewa Zawadowska?

— Obywatelu pułkownika — powiedział twardo Engel. — W dniu, kiedy to odkryję, przyprowadzę do komendy morderców jak cielęta na ubój!

— Niech was! — rzekł Lewicki i machnął ręką — Tylko z tym nie zwlekajcie. I koniec z tym Teksasem. To skandal, żeby w takim mieście...

Urwał, spojrzawszy na Engla.

— Ale z was orchidea. Słowa nie można powiedzieć. Dobra jest! Co z tą Zawadowską i jej chłopakiem?

— Ona sobie poleży dobre dwa tygodnie. Morawski wyszedł prawie bez szwanku. Trochę mu

telewizor kark połupał... Najgorzej z Gawlikiem, milicjantem. Rana poważna.

Lewicki skinął głową.

— A wy? co zamierzacie dalej?

— Ja, obywatelu pułkowniku, mam prace naukową, by tak się wyrazić. Biblioteka Jagiellońska oraz parafia świętego Jana.

— Dawajcie szczegóły, poruczniku...

To była bardzo wyczerpująca praca. W mlecznym świetle lampy, ocienionej metalowym stożkiem — płachty gazet wyglądały trochę nierealnie. Gruba zszywka na stoliczku nie poddawała się dobrze przeróżnym manipulacjom Engla.

Skrawek papieru, odnaleziony w kieszeni mężczyzny, zabitego pod Słownikami — stanowił osobliwy rebus. Trzeba było nie lada manewrów, by odkryć w gazecie właściwe miejsce i w ten sposób zidentyfikować numer i datę pisma.

W bibliotece panowała cisza, ludzie przesuwali się jak cienie, wokół panował uroczysty mrok, rozjaśniony słabo światłem lampek, umocowanych przy stoliczkach.

Engel uprościł poszukiwania dzięki eliminacji. Nie interesowały go pierwsze kolumny, bo stwierdził, że nigdy nie zawierały ogłoszeń i reklam. Ale dalej było coraz gorzej. Niektóre numery dziennika chicagowskiego liczyły bez mała pięćdziesiąt kolumn, z czego lwią część poświęcona była właśnie tekstom reklamowym. Cienki jak bibułka papier

— szeleścił zdradliwie i umykał spod palców porucznika. Kiedy Engel powodował zbyt duży hałas, czuł na sobie zdumione i karcące spojrzenia zatopionych w lekturze bywalców czytelnicy.

Miał grube, niezbyt wprawne palce. Zrazu doznawał niemiłego uczucia, że robi coś szalenie idiotycznego i pozbawionego sensu. Szukanie igły w stogu siana, szukanie ziarnka maku na łące! Ale po pewnym czasie odnalazł już w tym zajęciu przyjemność. Jego pasja potęgowała się. Czuł, że idzie właściwym tropem, choć przecież był to jedyny trop, jaki los postawił mu do dyspozycji. Ale coraz bardziej był przekonany, że to właśnie prowadzi do wyjaśnienia zagadki. Więc uparcie, mozolnie, z jakąś maniacką niemal zaciętością — przeglądał numery Chicago Sun, porównywał, wracał do poprzednich, kreślił domniemane przedłużenie linii rysunku, znalezionego w kieszeni człowieka spod Słownik.

W bibliotece patrzyli na niego z sympatią i zrozumieniem. Jego stoliczek sku-piał od czasu do czasu uwagę wszystkich obecnych. Ludzie, którzy tu bywali, wiedzieli chyba, że ten oficer milicji poszukuje pewnych danych związanych z przestępstwem. To było podniecające dla osób, które większą część swego czasu spędzały w ciszy czytelnicy, w izolacji od burzliwych wydarzeń dnia, przy skupionej lekturze. Nagle do tego osobliwego przybytku refleksji — wdarło się coś egzotycznego, nowy czynnik. Przy stoliczku Engla lektura nabierała innej wagi, może nie większej, ale przecież na pewno innej. Nagle — i to chyba podniecało ludzi, korzystających z czytelnicy — lektura, tak z pozoru banalna, stawała się sprawą życia i śmierci. Przy tym stoliku, gdzie siedział pochylony nad gazetami Engel — toczyła się walka. Ten raczej tuzinkowy człowiek, tęgawy, o ciężkiej, o bardzo spokojnych ruchach i niemal gnuśnym wyrazie twarzy, zwykle roztaczający wokół siebie atmosferę znużenia — teraz wzbudzał napięcie czytelnicy.

Jakiś młody człowiek w okularach, szczupły, wysoki, o wydatnym nosie i wąskich wargach — zbliżył się na palcach do stolika Engla i zapytał miękko:

— Gdybym mógł panu w czymś pomóc, jestem do dyspozycji!

Engel uśmiechnął się, wstał niezgrabnie z krzeselka.

— Nie, wie pan... Dziękuję bardzo. Dam sobie? radę.

— Pan szuka jakiegoś tekstu, prawda? — spytał młody człowiek.

— Tak jakby... — odparł Engel i znów się uśmiechnął. Wyglądali obaj złowieszczo, ich głowy tonęły w mroku, mówili niemal szeptem, jak zwykle tutaj.

To chyba ważny tekst — powiedział młody człowiek.

Engel skinął głową i dodał:

— Tak... Gdybym jeszcze wiedział, czego szukam, proszę pana...

— Rozumiem — odparł tamten szybko, ponieważ nic nie rozumiał.

Odszedł na palcach. Engel wrócił do swojej roboty.

Potem przyszedł starszy pan, przedstawił się. Był to wybitny anglista, a nadto badacz dziejów anglosaskiej prasy. Engel nie spławił go.

Przeciwnie. Rozmawiali przez dłuższą chwilę, Engel pokazał tamtemu skrawek gazety, którym dysponował... Stary pan kiwał głową ze zrozumieniem.

— Pan, oczywiście, wie — powiedział — że trzeba szukać u dołu kolumny?

— Tak jest — odparł Engel. — U dołu. od wewnątrz zszywki. Zgadza się?

—

Jak najbardziej. I jeszcze jedno, proszę pana. Ile pan przejrzał numerów?

— Już sporo — odrzekł Engel.

— I ani razu nie natknął się pan na takie ogłoszenie?

— Ani razu...

— Więc proszę szukać tylko na ostatnich sześciu, ośmiu kolumnach.

Jeśli dają reklamy rzadko, to znaczy, że firma niezbyt bogata. Dla takich jest koniec numeru. I na pewno nie na ostatniej kolumnie. Za to ręcę...

Engel wziął sobie do serca radę anglisty. Ale ponieważ nie dało to rezultatu, ponieważ nie znalazł na ostatnich kilku kolumnach, przeglądał

uparcie inne. Wreszcie stało się jasne, że takiego ogłoszenia nie drukowano w ostatnim roczniku Chicago Sun.

To był bolesny cios. Engel wstał od stolika, zgasił lampkę, dźwignął zszywki, oprawione w płótno. Cała robota na marne. Urwał się trop...

I wtedy zjawił się znowu starszy pan z głębi sali.

— No? — spytał. W jego małych oczach błyszczało podniecenie.

— Nie znalazłem — powiedział Engel.

Anglista nachmurzył się.

— Przeglądał pan dokładnie tamte kolumny?

— Jestem bardzo dokładny — rzekł Engel. Czuł się zmęczony jak nigdy.

Przed oczami wisiała lekka, ruchoma mgiełka, jakby utkana z malutkich, ruchliwych robaczków...

—

To niemożliwe — powiedział anglista. — Niech mi pan jeszcze pokaże ten świstek...

Engel wydobył z kieszeni skrawek gazety w celuloidowej ramce.

—

Można wyjąć? — zapytał anglista. Engel skinął przyzwalająco głową.

Miał już dość tej cholernej gazety. Wszystkiego miał dość...

Stary pan wydobył ostrożnie papier, ściągnął wargi. Zbliżył się do stoliczka, mieścił kawałek gazety pod lampą.

—

Nie może być wątpliwości... Pan źle szukał. To musi tam gdzieś być...

—

Nie ma — odparł stanowczo Engel. — Ja dobrze szukałem.

—
Może brak w zszywce jakiegoś numeru? — powiedział anglista.

Engel zmarszczył brwi, zeszywniał na moment.

— Jak pan powiada?

—
Może to nie jest kompletny rocznik... Chociaż... Raczej niemożliwe.

Chyba, że ktoś ściągnął...

Engel już nie słuchał. Prawie pobiegł do swego stoliczka, zapalił lampę, usiadł... Anglista poszedł za nim.

Numer po numerze, mozolnie, przewracając wszystkie kolumny — wertował te- raz rocznik, sprawdzając daty.

—
Tak — powiedział nagle — tak... Gdzie jest numer z 23 października?

Jego głos brzmiał wyraźnie, dźwięczało w nim lekkie podniecenie.

Anglista pochylił głowę.

—
No, sprawdźmy — mruknął i przerzucił kolumny.

—
To jest 22 października. W porządku... Tutaj 24 października. Brak jednego numeru.

Engel podniósł na niego oczy. Spojrzenie miał zgaszone.

— Może to było jakieś święto, co?!

nie wychodzą wtedy gazety...

Anglista roześmiał się cicho.

—
Wykluczone. Tam gazety wychodzą zawsze. Każdego dnia. Bez chwili wytchnienia...

Przerwał na moment. Zasepił się.

— Chyba, że... — powiedział.

—
Chyba, że co?! — powtórzył Engel gwałtownie.

—
Strajk — rzekł anglista. — Ale zaraz to sprawdzę... 23 października.

Niech pan momencik cierpliwie poczeka...

Poszedł. Nie było go kwadrans. Przez ten czas Engel przeżywał nieopisane męczarnie. Anglista wrócił uśmiechnięty.

—
No, to wszystko już wiemy, panie poruczniku. Przepraszam, że tak długo, ale chciałem mieć w tym swój udział.

—
Był strajk czy nie było strajku?! — zapytał Engel dość niegrzecznie.

— Nie było strajku.

— Jest pan pewny?

—
Ja siedzę od kołyski na brytyjskiej i amerykańskiej prasie, proszę pana. Mam swoje kartoteki, swoje zapisy... To jest olbrzymia dziedzina badań naukow'ych. Nie było żadnego strajku w tym czasie. Mam na myśli prasę, oczywiście...

Engel odetchnął. Uśmiechnął się prawie ciepło.

—

Dziękuję panu — powiedział i wstał energicznie z krzesła.

— Hola! — rzekł anglista. — To jeszcze nie wszystko... Ja sobie pozwoliłem pana wyręczyć w pewnym drobiazgu.

— Mianowicie?

— Sprawdziłem, kto poza panem korzystał ostatnio z tej zszywki w czytelni Biblioteki.

—

Rzeczywiście, wyręczył mnie pan. Więc kto?

—

Dwie osoby. Pan magister Pogonowski, jeden z moich młodych współpracowników oraz Adam Morawski. Mieszka w Krakowie.

Engel powiedział bardzo powoli:

— Kto taki? Niech pan powtórzy?

—

Magister Jerzy Pogonowski. Znam

doskonale. Współpracujemy od paru lat... Przygotowuje pracę doktorską...

— Tak, rozumiem — przerwał Engel. — I kto jeszcze?

— Jakiś Adam Morawski. Nie bywa tutaj... Ale zanotowałem jego adres.

— Nie trzeba — powiedział Engel. — Znam ten adres!

—
Wczoraj o świcie zatrzymano tego Johanssona — powiedział major, kiedy Engel zjawił się u niego w gabinecie. — Wszystko wskazuje na to, że mieliście nosa, poruczniku...

— Gdzie go zatrzymano? — zapytał Engel.

—
W Szczecinie. Zamierzał skorzystać z promu... Podobno zachowywał się bardzo dziwnie. Robił wrażenie zadowolonego, że został zatrzymany.

—
Tak — mruknął porucznik. — Spodziewałem się tego. Szwedzi nie nadają się do takiej ciężkiej roboty... Czy obywatel major posiada jakieś bliższe informacje na temat tego Johanssona?

— Jeszcze nie. Ale teraz już chyba pójdzie szybko.

— Co ma pójść szybko?

—
No... Rozwiązanie całej zagadki.

Engel skrzywił się. Znowu niedobrze wyglądał, miał żółtawe plamy na twarzy.

— Tego pewien nie jestem».

— Wyście się zrobili figlarz — rzekł major. — Co nam więcej trzeba, jak tylko trafić na faceta, który strzelał do Zawadowskiej i znikł jak kamfora?

Johansson wie, kto to jest i na pewno wie, gdzie go szukać.

— To jeszcze nie wszystko, jeśli wolno

zauważyć. Nie przypuszczam, żeby ci wszyscy faceci, wyglądający jak byki z Arizony, mieli jakieś pojęcie o całej sprawie. Oni są od zabijania. Nic więcej. Oni tu przyjechali, obywatelu majorze, każdy oddzielnie, każdy z doskonałą podkładką jakiegoś „Hortexu” albo innej centrali handlowej, jako solidni przedsiębiorcy. Przyjechali, żeby wykonać okreś-

loną robotę w Krakowie. I każdy chciał być pierwszy na mecie. Ale oni, jak przypuszczam, wcale nie wiedzą, o co toczy się ta cała gra.

— Wy myślicie, Engel... — podjął major znacząco.

— Tak — odrzekł Engel. — Płatni mordercy. Chłopaki do wynajęcia.

Może im zapłacili po dziesięć, a może po dwadzieścia tysięcy dolarów.

Cash, jak to oni powiadają. Gotówką, z rączki do rączki.

I zwrot kosztów podróży. Ale ci czterej ludzie nie znają sedna sprawy.

— Jak wy to widzicie, Engel?

— Widzę na razie dwie pary ludzi. Johansson ze swoim współnikiem, już nieżyjącym, i Mitchell z tym drugim, który nam zwiął w Nowej Hucie.

A więc — grupa Johanssona i grupa Mitchella, tak to nazwijmy. Człowiek Johanssona przybył pierwszy, udało mu się załatwić starego Zawadowskiego, chciał ciągnąć sprawę dalej, ale ktoś go spłoszył... Nie my, obywatelu majorze. Raczej tamci! Mitchell zjawił się niespodziewanie, trzeba było zwijać żagle... Więc Johansson wyjeżdża z Krakowa, wywozi swojego płatnego mordercę za miasto. Nie orientuje się, że tamci dwaj jadą za nim. Płatny morderca Johanssona wysiada w Słomnikach, licząc, że teraz wróci do miasta, że tamci zgubili ślad... Ale oni nie zgubili śladu. Dopadli go. Johansson jest teraz słabszy. Traci głowę. Widocznie brak mu twardości przeciwników.

Umyka jak zając, byle szybko... A kiedy nasi ludzie zaczynają mu się przyglądać, on im włązi prosto w ręce, szczęśliwy, że go zamkną w polskim więzieniu. Tutaj przynajmniej będzie bezpieczny. Bardziej aniżeli u siebie, w Szwecji... Wcale nie jestem pewien, czy on wie, gdzie się podział tamten gość od pary z Mitchellem. Wolałby go nie spotkać. A co się tyczy istoty sprawy, to żaden z nich nie ma o niej pojęcia. Tak to właśnie wygląda, moim zdaniem...

XXIV

Tego dnia wieczorem Engel odebrał telefon z komendy. Siedział w kuchni przy stole i jadł naleśniki, które sobie odsmażył z obiadu, kiedy zaterkotał dzwonek. Engel podniósł się ociężale, poczłapał do pokoju.

Usta miał jeszcze pełne, kiedy powiedział do słuchawki:

— Halo!

— Edek, to ty? — usłyszał głos Kalinowskiego.

— Podobno ja — odparł.

— Przyszedł ten numer z Warszawy. Chicago Sun z 23 października.

Co z tym zrobić?

— Przyślij wóz — krzyknął Engel — zaraz przyjeżdżam, muszę to natychmiast zobaczyć.

Rzucił słuchawkę, pobiegł do kuchni, wsadził sobie do ust kawał

naleśnika, popił łyk herbaty. Potem szybko zmienił obuwie, narzucił

kurtkę, przygładził szare, rzadkie włosy nad czołem i wybiegł z mieszkania, nie zamykając drzwi na klucz. Chodził przed domem niecierpliwie, wypatrując samochodu.

W komendzie monotonnie szumiały jarzeniówki pod sufitem. Znów był

duszny wieczór. Kiedy wszedł do pokoju, Kalinowski powitał go skinieniem głowy.

— Angielski znasz?

— Jak Szekspir — odparł Engel. — Gdzie ta gazeta?

—

Leży na twoim biurku... Niech ich cholera! My z takiego papieru robimy bibułki do carmenów...

Tak. To był właśnie brakujący numer, wyjęty ze zszywki bibliotecznej przez Adama Morawskiego.

— Dobrze, że tak szybko nadeszali — mruknął Engel. — Lepiej wiedzieć, o co idzie, zanim się Morawskiemu dobiore do skóry, no nie...

— Teraz będziesz czytał? — powiedział przeciągle Kalinowski.

— Tak — odparł Engel.

Przeglądał pilnie, kolumna za kolumną,

numer gazety z 23 października. Ten stary anglista miał rację. Skrawek, znaleziony przy człowieku zastrzelonym w Słomnikach, pasował do reklamowego ogłoszenia na 39 kolumnie.

— Ignacy — powiedział Engel z napięciem. — To jest ten numer...

—

I co z tego wynika, Edziu? Tylko tyle, że tamten gość miał w kieszeni od-darty kawałek gazety...

— I tę samą gazetę sprzątnął z Biblioteki nasz kochaś Morawski —

powiedział Engel. — To ci nic nie mówi?

— Owszem — odparł Kalinowski — ale tylko ociupinkę. Teraz trzeba będzie przewertować te wszystkie płachty, słowo po słowie, żeby znaleźć jakiś sens.

— Poczekaj — powiedział Engel. — Może tak, a może nie... Ja wiem, czego szukam, do cholery. Taki idiota nie jestem!

Engel zaczął mówić powoli, złożył splecione dłonie na płaszczyźnie rozpostartej gazety. Zdawał się świadomie odsuwać od siebie moment, który go podniecał.

— Ignacy, posłuchaj mnie — powiedział, cedząc słowa. — Mam już swoje lata. Powiedziałem sobie, że w tej historii muszę się sprawdzić. Czy mi globus nie zardzewiał. Więc teraz uważaj. Jest w tej gazecie coś, co rozwiąże nam historię

zabójstwa Zawadowskiego. I to coś jest właśnie na 39 kolumnie.

— Dlaczego — wtrącił Kalinowski. — Bo tobie tak wygodnie?

— Nie — odparł. — Bo im tak wygodnie... Tym wszystkim bykom z Arizony. Oni tu przyjechali przez ocean, mając w kieszeniach swoich obcisłych marynareczek nieduże wycinki z 39 kolumny dziennika Chicago Sun z 23 października. To było jak bilet wizytowy. Mogło im otworzyć drzwi do Zawadowskiego. Zamknij oczy, Ignacy i pomyśl trochę. Wyobraźnią! Dzwonek do drzwi. Stary podnosi się z fotela, człapie korytarzem, uchyla drzwi przez łańcuch. Na progu stoi gość w popielatym garniturze, w jasnych, zamszowych bucikach. „Mister Zawadowski”? — pyta gość i podsuwa staremu pod nos wycineczek z gazety.

Stary kiwa głową, otwiera drzwi. Gość wchodzi. Zamszowe buciki popiskują delikatnie jak myszki. Stary Zawadowski jest spokojny. Czekał

na tego człowieka. Już od pół roku czekał na niego bardzo niecierpliwie.

Siada w fotelu... No, tak! Ale to jednak nie był ten człowiek. Całkiem inny gość. Pończocha, szarpnięcie, lekki, ledwo słyszalny, stłumiony okrzyk starca, który umiera, bardziej zdumiony niż przestraszony...

Zamilkł. Miał szarą twarz i kropelki potu na czole.

— Zobaczyłeś to, Ignacy?

Kalinowski patrzył na niego ze zdumieniem.

— Skąd to wiesz, Edek?

— Bo myślę, kochasiu — odparł Engel spokojnie. — I teraz to zweryfikuję. A jeśli zweryfikuję, to pójdziemy się napić. Przecież jesteśmy po służbie...

Kalinowski patrzył na niego uważnie. Engel uśmiechnął się lekko, ale nie był to uśmiech triumfujący. Raczej bolesny. Pot spłynął mu z czoła na nasadę nosa. Zdjął dłonie z gazety. Przyglądał się czujnie ogłoszeniu plastikowych opon

rowerowych. Potem uważnie, delikatnie przewrócił kolumnę gazety, badał stronę czterdziestą. I nagle zamknął oczy.

Kalinowski spoglądał z napięciem, wreszcie rzekł:

— Co ci jest, Edek...

Engel otworzył oczy. Był to wesoły, niestary mężczyzna, trochę zniszczony, ale jeszcze w doskonałej formie.

— Idziemy na kielicha, Ignacy — powiedział spokojnie.

Był wczesny ranek, godzina szósta. Ulice zdawały się jeszcze uśpione, ale tu i ówdzie pierwsi przechodnie śpieszyli do pracy. Słońce stało na niebie, wypolerowanym jak blacha, jego promienie rozblyskiwały na kopułach i wieżach kościołów. Zapowiadał się upalny dzień. Engel zmierzał szybkim krokiem wzdłuż zabytkowych kamieniczek. Gdzieś ozwał się stuk młotka, potem zapłakało zbudzone dziecko.

Figura świętego Jana lśniła jeszcze od nocnej wilgoci. Kamienna broda o zielonkawym odcieniu była śliska jak po deszczu.

Engel minął schody wiodące do świątyni, skręcił w lewo, pchnął furtkę w murze z brunatnej, starej cegły. Skrzypnęła lekko. Przemierzył zwirową alejkę, wzdłuż której rozsiadły się grządki pomidorów — i wbiegł po wydeptanych czterech schodkach na ganek. Zadzwoił. Ozwał się miły dźwięk gongu w głębi, potem powolne kroki. Wreszcie drzwi stanęły otworem. Na progu, przed Englem — wyrosła postać bardzo sędziwego człowieka.

— Nazywam się Engel — powiedział

porucznik. — Wczoraj telefonowałem. Jestem funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej.

Tamten skinął głową. Uśmiechnął się, obnażając zapadłe, starcze dziąsła. Twarz miał wiekową, ale jednak gładką, tylko niewielkie, drobne zmarszczki otaczały jego zblakłe oczy.

— Czekałem na pana — powiedział staruszek — właśnie piję kawę.

Cofnął się w głąb ciemnego korytarza, sutanna zaszeleściła. Engel wszedł do środka. Pachniało miodem, kurzem i kadzidłem. Był to znajomy zapach dawnych lat, dzieciństwa...

Ksiądz szedł przodem, zamiatając podłogę przydługą sutanną.

Wprowadził Engla do niedużego, jasnego pokoju, umeblowanego przed bez mała stuleciem. Krępy, rzeźbiony kredens, wielki stół, nakryty serwetą z frędzlami, krzesła o wysokich, niewygodnych oparciach, wykładane spłowiałym pluszem. Na przeciwległej ścianie wisiał obraz, przedstawiający chrzest w rzece Jordan.

Staruszek wskazał Englowi krzesło.

— Należę panu kawy — rzekł. — Poranna kawa. Najlepszy napój dnia...

Głos miał ciepły, bardzo stary. Jak oczy.

— Chętnie napiję się — powiedział. — Prawdę mówiąc, nie miałem jeszcze nic w ustach...

— Więc nie należy palić. Nigdy na czczo — rzekł ksiądz.

A potem ujął w obie dłonie dzbanek kawy, podniósł go, nalewał starannie płyn do kubeczka, ozdobionego kwiatkami. Spojrzał w oczy Engla.

— Czekałem na pana niecierpliwie. Mówiono mi, że Antoniego Zawadowskiego spotkało straszne nieszczęście. Jestem bardzo stary, proszę pana. Bez mała dziewięćdziesiąt lat. Pewnych faktów nie umiem połączyć. Ale to dobrze, że pan do mnie trafił...

Engel usiadł przy stole. Powoli wydobyl z kieszeni kurtki portfel, z portfela

niewielki skrawek gazety. Położył go na serwecie, rozprostował palcami.

Ksiądz pochylił głowę. Pachniał delikatnie kminkiem i starością.

— No, no... — rzekł cicho. — Więc pan już tak daleko zaszedł, panie poruczniku? To świadczy o wielkiej bystrości. O wielkiej bystrości...

XXVI

Engel wstał od stołu. Na jego talerzyku zostały okruszyny chleba i odrobina złocistego miodu, nad którą brzęczała osa. Z ogródka zaglądało do pokoju słońce. Engel spojrział na zegarek. Było po ósmej.

— Ksiądz pozwoli, że zatelefonuję. Właśnie w tej sprawie.

— Ależ proszę — powiedział staruszek i podreptał do korytarza, wskazując drogę. Telefon był w głębi, na małym, rozchybotanym stoliczku. Engel wykręcił numer komendy.

— Ignacy? To Edek! Teraz uważaj... Natychmiast łączyć się z Departamentem Konsularnym MSZ. I powiedz majorowi, że jest tak, jak przypuszczałem. Dobiliśmy do brzegu, kochasiu... Tak jest! Co takiego?

Mapa? Teraz gwizdzę na nią... No to, cześć!

Odłożył słuchawkę. Ksiądz stał za nim i Uśmiechał się łagodnie.

— Jest pan człowiekiem wielkiej bystrości — powiedział. — Wielkiej bystrości, panie poruczniku. A przy tym taki młody...

Engel pochylił głowę, jakby zawstydzony.

Porucznik Kasperski wszedł do komisariatu dokładnie o godzinie czwartej rano. Było jasno, a chłód nocy jeszcze nie ustąpił. Na ławce siedział niepozorny człowieczek, rudawy, łysiejący, o zniszczonej twarzy i silnie zaczerwienionych oczach. Człowieczek był ubrany niechlujnie, a zarost na jego policzkach świadczył, że nie zwracał szczególnej uwagi na swój wygląd zewnętrzny. Ujrzawszy Kasperskiego — człowieczek wstał i stuknął obcasami po żołniersku.

— Witam pana porucznika całym sercem, przepelnionym radością — powiedział. Mówił donośnym sznapsbarytonem, który dobywał się z głębi jego drobnego ciała, jak z beczki pełnej kiszzonej kapusty.

—
Znowu rozrabiacie, Onufry? Od samego rana?! — powiedział gniewnie porucznik Kasperski.

— Już o świcie spełniam dobre uczynki — odrzekł Onufry.

Zza biurka wstał mocno niewyspany dyżurny podoficer i krótko złożył porucznikowi meldunek o wypadku. Porucznik gwizdnął. Onufry rzekł:

— Czy mogę otrzymać aromatyczną hawanę od pana porucznika?

Kasperski wydobył paczkę sportów

i podał ją niepozornemu jegomościowi. Tamten skwapliwie zapalił, rozsiadł się wygodnie na ławce.

— Znam obyczaje pana porucznika, więc wiem, że mam streścić raz jeszcze tę mrozącą w żyłach przygodę...

— Streszczajcie, Onufry. Zdaje się, że tym razem sprawiedliwość okaże się dla was łaskawa...

— Doszedłem do podobnych wniosków metodą dedukcji, panie poruczniku...

— Tylko ja was błagam, Onufry, bez tych waszych poetyckich przenośni i opisywania stanów duchowych. My was znamy jako wybitnego gawędziarza, ale teraz nie ma na to czasu...

— Tak jest, szanowny panie poruczniku. Więc spacerowałem, jak zwykle, po nocy. Noc piękności niezwyklej, jak nie przymierzając księżna Wołkońska, która była po tamtej wojnie pierwszą ładacznicą miasta stołecznego Warszawy.

— To znam na pamięć — przerwał porucznik.

— Idę sobie spokojnie Alejami, aż ta zbliża się do mnie panna Jola, osoba o wyjątkowych manierach, tylko nie umiejąca się wyrażać, i powiada —

„Onufry, widzisz tego pacana po drugiej stronie ulicy?” Ujrzałem dżentelmena, który wysiadł właśnie z taksówki i przecinał jezdnię.

„Widzę!” — odparłem zdawkowo. Panna Jola na to: „Dewizowy. I można go zrobić...” Pan porucznik zechce wziąć pod uwagę, że serce swoje otwieram szeroko, aby jasne promienie sprawiedliwości dotarły do jego najciemniejszych zakamarków.

Kasperski skinął głową.

— Doszedłem do wniosku, że można by ulżyć temu panu. Mała korekta w podz; a- le dóbr tego świata. Rinaldo Rinaldini czynił podobnie.

Nie jest sprawiedliwie na tej ziemi, panie poruczniku. Jedni mają za wiele, inni za mało. Trzeba poprawiać stan rzeczy. Gość wydał mi się szacowny i zbyt pewny siebie, jakby to nie była nasza kochana Warszawa... Spojrzałem w lewo, potem w prawo. Żadnego przedstawiciela władzy ludowej nie zauważyłem, co nappełniło moje serce wdzięcznością dla losu. Pannie Joli powiadam: „Skryj się,

dziecino, w bramie i poczekaj grzecznie. Może ci coś kapnie...” Poszła! One są mi posłuszne jak żony baszy w haremie... Jegomość znalazł się w cieniu, latarenki błyskały z dala jak gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy na morzu, w czasie sztormu. Podchodzę i zagajam. Parle wu franse? On na to, że nie, że po angielsku. Ja w tym języku nie rozmawiam, więc mu złożyłem propozycję po polsku, aby zechciał mi oddać swój portfelik. Najpierw nie zrozumiał, ale po chwili skapował, o co idzie... I wtedy jakoś dziwnie się uśmiechnął, ni to wesoło, ni to współczująco. Obrzucił mnie spojrzeniem, jakim farmer patrzy na krowę, a potem cholernie szybko wydobyl kopyto z kieszeni... O, to jest ta armata, która leży na biurku pana sierżanta.

Żeby pan porucznik był przy tej hecy, toby miał przedstawienie, jak w kinie. Swoją drogą, ci cudzoziemcy zielonego pojęcia nie mają, gdzie przybywają w celach turystycznych. Im się zdaje, że jak człowiek wznosi się metr dwadzieścia nad poziom morza na rowerze i w kapeluszu, to go można od razu przestraszyć kopytem... Kiedym ujrzał wycelowany w siebie czarny otwór lufy, pomyślałem sobie, że teraz złożę dowody mojej życzliwości dla władzy. Ja przepisy znam i wiem doskonale, że takich panów z pukawkami należy szybko prowadzić na wizytę do komisariatu.

A poza tym, to mnie ten gość szalenie ubawił... Warknął coś do mnie i zrobił minę jak na filmie. Że niby teraz to on mnie załatwi. Pan porucznik uśmiełby się, co? Pan porucznik pamięta, jak w ubiegłym roku plutonowy Klimczak założył się, że mnie położy? Śmiechu było co niemiara. Pan plutonowy waży sto kilo. Jak upadł, to aż trotuar jęknął. Potem go serdecznie przeprosiłem, a on — jak prawdziwy dżentelmen — jako że zakład przegrał, wypłacił pięćdziesiąt złotych, które oddałem na ochronę dla dzieci. Więc ten miły człowiek z kopytem w ręku też myślał, że jest górą... Co za pycha siedzi w niektórych ludziach. Panie poruczniku, żeby pan widział jego zdumienie, kiedy usiadł na tyłku i zobaczył, że

ja mam w dłoni jego własne kopyto... Wtedy powiedziałem do niego —

hende hoch! — co zrozumiał i bardzo ładnie przyprowadziłem panu sierżantowi.

— Kto to jest? — zapytał Kasperski dyżurnego.

— Niejaki Samish ze Stanów Zjednoczonych. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie ta broń, obywatelu poruczniku...

— Zawiadomiliście, kogo trzeba? — spytał porucznik.

— Czekałem na pana — odrzekł sierżant.

Kasperski skinął głową. Zasepił się.

— Jakaś grubsza sprawa — powiedział.

— No, Onufry... Myślę, że tym razem wasze będzie na górze. Ale swoją drogą miał pecha ten gość, że się właśnie na was naciął...

— Pan porucznik raczy żartować — odparł Onufry. — U nas koleżeństwo jest wykształcone jak należy i z wybitną niechęcią odnosi się do broni palnej w rękach klientów. Pewnym ludziom się zdaje, że technika wszystko załatwia. Tymczasem trzeba również pracować umysłowo i mieć właściwe podejście do zagadnienia... Tacy jak ten dżentelmen zawsze przegrają w Warszawie. Kopyto? Też coś... Ja za młodych lat potrafiłem załatwić trzech żandarmów z rozpylaczami i jeszcze im porządnie wykopałem tyłki.

XXVIII

— Mają go — powiedział major. — Siedzi w Warszawie. Ujęty z bronią w rękę. Paszport na nazwisko Samish. Ike Samish, przedsiębiorca hodowlany. Konie, krowy, byki zarodowe...

— Tego należało oczekiwać — powiedział Engel.

— Możecie być pewni, poruczniku, że to on właśnie strzelał do Zawadowskiej. Mitchell wykończył tamtego w Słomnikach, Samish chciał wykończyć Ewę Zawadowską.

—

To jasne, bo trzeciego pistoletu w tej historii nie było... Czy tak jak się spodziewałem? Major skinął głową.

— W jego portfelu znaleziono ogłoszenie z Chicago Sun, numer z 23 października, kolumna czterdziesta. Wszystko się zgadza.

—

Co ten Samish mówi? — spytał Engel.

— Nie wiem. Na razie chyba ani słowa... A co chcielibyście od niego usłyszeć?

Engel uśmiechnął się łagodnie, z odrobiną zawstydzenia.

— Chciałbym usłyszeć to, czego oczekuję. Że mianowicie on również nie miał pojęcia o sprawie. Na tym polegał cały sens tej roboty.

Gdybyśmy nawet złapali wszystkich tych facetów — niewiele to by nam dało. Trzeba było dotrzeć do sedna...

— A więc jednak wciąż ta wasza mapa, co? — powiedział major i roześmiał się wesoło...

— Obywatel major przyzna, że jednak miałem nosa. Teraz mapa niepotrzebna, teraz już nie gra roli. Ale przecież miałem nosa...

Ewa nie wyglądała dobrze. Miała zgaszone spojrzenie, bladą cerę.

Nawet na tle białej, szpitalnej poduszki.

— To, co pan mówi, jest bajką — powiedziała cicho, z wysiłkiem.

— Nie cieszy się pani? — spytał Engel.

Siedział na twardym, niewygodnym taborecie szpitalnym, tuż przy oknie. Okno było otwarte, nad miastem stał upalny, piękny, bezchmurny dzień.

— Nie cieszę się — odparła Ewa. — Takie sprawy nigdy nie miały dla mnie wielkiego znaczenia.

Morawski powiedział:

— Nie przesadzajmy... To jednak ma znaczenie. Tylko ja znalazłem się w idiotycznej sytuacji.

Myślałem, że mam zwyczajną dziewczynę, a tu tymczasem panna z milionami...

— Nie mów głupstw — powiedziała Ewa i przymknęła oczy. — Panie poruczniku, czy ja naprawdę jestem bogata?

— Okropnie — powiedział Engel. — Właściwie aż bezwstydnie bogata.

Tego nie można wygrać w żadnego totka, proszę pani.

— Wie pan. To straszne. Z takimi pieniędzmi ludzie nie mogą zaznać chwili spokoju... I teraz ja mam to wszystko na głowie... Mój Boże!

— Nie przesadzajmy — rzekł wesoło Engel. — Można z tym żyć. Nawet całkiem nieźle żyć...

— Ale nie tam! — powiedziała szybko.

— To już pani sprawa — odparł Engel. Wystawił swoją szarą twarz na ulewę słonecznych promieni. Grzało wściekle. Najpiękniejszy dzień lata.

— To wszystko jest takie dziwne — powiedziała Ewa. — Już minęło, a przecież czuję, jakbym dalej była we mgle...

— Proszę pani — rzekł Engel. — Nie było żadnej mgły. W gruncie rzeczy sprawa dość prosta. Tyle, że brakowało punktu zaczepienia...

Szedłem tropem tej mapy, to wszystkich bardzo irytowało, ale przecież dobrze, że szedłem. Tylko od chwili, kiedy ten John Onyx w białych zamszach zjawił się u pani, coś zaczęło się gmatwać... To przecież oczywiste, że

gdyby im chodziło tylko o mapę Wyspy Czterech Łotrów — nie dybaliby na pani życie. A zatem wniosek pierwszy — przybyli z zamiarem zgładzenia zarówno stryja, jak i pani. Jaki w tym sens? Mój Boże! Na to odpowie dziecko... Sprawy spadkowe. U nas, w kraju, mamy tak niewiele do czynienia z podobnymi historiami, że nie potrafimy uchwycić ca-

łego mechanizmu. A tu się wydarzył, że tak powiem, czysty kryminał.

Najprawdziwszy kryminał z innego czasu, innej szerokości geograficznej, innego stylu życia. I właśnie to było zaskakujące. Niech _pani tylko pomyśli. Kto u nas morduje z powodu spadku? Jaki u nas można dostać spadek? Salon fryzjerski? Wytwórnę grzebyków? Dla takich rzeczy u nas się nie zabija...

Ale jeśli doszedłem do wniosku, że tu idzie o zgładzenie was obojga, to musiałem szukać właśnie sprawy spadkowej. Ta fotografia? Pamięta pani? Trzeci brat pani ojca, o którym pani nie słyszała... Ale był człowiek, który o nim słyszał. Nawet sporo! Żenująca tajemnica rodziny Zawadowskich. Niech pani pomyśli, komu przed pięćdziesięciu laty, w naszym kochanym Krakowie powierzało się takie tajemnice?

Ewa milczała chwilę.

— Pojęcia nie mam — powiedziała wrpszcie.

—

Bo pani jest bardzo młoda — rzekł Engel. — A ja jestem trochę starszy... Więc sobie poszedłem na spacer do parafii u świętego Jana.

Tam i panią chrzcili. Już po wojnie. Tam chrzcili pani ojca i obydwu stryjów. Ten najstarszy miał na imię Franciszek Ksawery. W

1912 roku wywiał z domu... Gdzie się wtedy wiało, mając 16 lat i niechęć do Franza Jozefa? Wiało się do Ameryki, proszę pani. Po-tem przyszła wielka wojna. Straszne zamieszanie w naszej starej Europie. Pani dziadek umarł, babcia żyła skromniutko, a co mogła — pakowała w swoich młodszych synów. I czekała na powrót najstarszego. Ale nie wracał. Wszelki ślad po nim zaginął. Ja pani coś powiem, panno Ewo! Ten stryjasek nie był dobrym dzieckiem.

I nie miał łagodnego charakteru. Dom pani dziadków to był bardzo bogobojny dom. Urzędniczy, cesarsko-królewski, katolicki wszystko jak należy. Sama cnota, można powiedzieć. A ten Franciszek Ksawery w dalekiej Ameryce zaplątał się w brzydkie sprawy. Tych szczegółów nie znamy. I nie będziemy znali. Zresztą, to chyba nieważne... Pewnie w czasach prohibicji zbił spory kapitał na nieczystych interesach. Dam sobie rękę uciąć, że w amerykańskich kartotekach policyjnych figuruje facet, który się nazywał Frank Zavada i maczał palce w różnych konku-encyjnych gangach. No, ale przyszła starość, blizny z dawnych ran, zagojonych przez lata, teraz znów nie dawały spokojnie zasnąć. Pani jest młoda i tego nie zrozumie. Ale ja rozumiem. W pewnym wieku człowiek zaczyna tęsknić za swoją młodością. On też zatęsknił. Krakowskie planty, hejnał mariacki, kasztany, gra w pikuty, świńska skórka w cieniu Barba-kanu za ileś tam halerzy... To się nie liczy przez wiele lat, ale na starość nabiera olbrzymiej wartości. Ten dziki człowiek, ten straszny, żelazny Frank Zavada — pamiętał, że w małym Krakowie, nad Wisłą, u stóp Wawelu, zostawił rodziców

i młodszych braci. Może ci bracia mieli dzieci, może założyli rodziny?

On, Frank Zavada, nie miał nigdy czasu na takie sentymenty. Robił swoje straszliwe pieniądze i nie dbał o przyszłość. Ale pewnego dnia obudził się i pomyślał o śmierci. Nie o tej śmierci, która się o niego wciąż ocierała, ale o prawdziwej, nieubłaganej śmierci, która dopada człowieka w pościeli, w jego własnym domu, przed wschodem słońca... I wtedy napisał list. Jak pani sądzi, do kogo on mógł napisać list, po bez mała sześćdziesięciu latach nieobecności? Jest tylko jeden taki adres dla człowieka, który był wychowany w cieniu kruchty i przy dźwiękach organów. Jego własna parafia! I napisał list...

— Czytał pan ten list? — spytała cicho Ewa.

Engel zaprzeczył ruchem głowy. Zmrużył oczy i odwrócił twarz ku słońcu.

— Nie... To nie są nasze milicyjne sprawy. Kiedy człowiek, w lęku przed śmiercią, pisze do księdza w swojej parafii — to taki list stanowi przeciw tajemnicę. Więc nie wiem, co on napisał. Ale wiem, co się stało później. Bo mi to po prostu powiedział ksiądz Pawełczyk, z którym rozmawiałem... Ksiądz Pawełczyk spełnił polecenia Franka Zavady. Udał

się do pani stryja i powiedział mu — „Pański brat, Franciszek Ksawery, żyje. I jest człowiekiem bogatym. I kiedy zejdzie z tego świata, zjawi się u pana człowiek, który pokaże taki a taki znak. A pan mu również pokaże znak. I ten człowiek będzie wykonawcą testamentu pańskiego brata. I wtedy pan będzie bardzo bogatym człowiekiem”.

To niemal wszystko, co ksiądz Pawełczyk powiedział pani stryjowi.

Więc pani stryj, który był dziwak nie lada, a poza tym człowiek schorowany, nabrał osobliwej tajemniczości i cieszył się wielkim sekretem. Poprosił pana Morawskiego do siebie i powiedział... Panie Adamie, co wtedy powiedział Zawadowski?

Morawski wzruszył lekko ramionami:

— Trochę już wtedy zdziwaczała... „Panie Adamie, powiada, jest sekretna misja... Tylko ani słowa Ewie!” Przynależem, że nie powiem.

Wtedy polecił zdobyć za wszelką cenę numer Chicago Sun z 23

października. Myślałem, że mu parsknę śmiechem w twarz. Straszna tajemnica, nie ma co! Ale skoro domagał się dyskrecji — zachowałem milczenie. Nigdzie nie mogłem zdobyć tej gazety. Wreszcie wyjąłem ze zszywki w Bibliotece. Miałem nadzieję oddać za dwa, trzy dni... Kiedym się u pana Antoniego upomniał o ten numer, oddał mi, ale podarty. Co miałem robić?

Przerwał na moment, uśmiechnął się niedbale.

— Ewo, pamiętaj! Twój pierwszy zakup w dolarach to ten brakujący numer Chicago Sun dla naszej Biblioteki.

Zabrzmiało to dość kiepsko. Morawski powiedział:

— Wypytywałem pana Antoniego, po co zniszczył gazetę, ale mnie zbył byle czym... Ot i to chyba wszystko.

Engel skinął głową.

— Co się tyczy pańskiej osoby, to rze-1 czywiście wszystko... Wie pan, co stary zrobił z tym ogłoszeniem z gazety? Schował do passe-partout mapy z Wyspy Czterech Łotrów... Jak skarb to skarb... Nawet dowcipnie...

— A gdzie jest mapa? — spytała Ewa.

— Pojęcia nie mam, proszę pani — odparł Engel. — A takeśmy starannie szukali... Ale kiedy do pani stryja przyszedł ten dżentelmen w białych zamszach, ogłoszenie z sobą zabrał. Pewnie mapę również. Potem ją gdzieś rzucił na śmietnik.

— A to ogłoszenie? — odezwał się Morawski.

— Bardzo proste i bardzo jednoznaczne Franciszek Xawery Zawadowski alias Frank Zavada pozdrawia swoich braci w Krakowie. I nic więcej. Ale to wystarczyło dla pewnych facetów w Stanach. Oni już wiedzieli, że muszą wyprzedzić właściwego człowieka, który jest wykonawcą testamentu. Że muszą tu być wcześniej i sprawić, aby Frank Zavada nie miał już żadnych spadkobierców. No, więc bardzo się śpieszyli. Czterech łotrów zza morza.

— To bardzo interesujące — powiedział Morawski. — Ale pewne sprawy wydają mi się nadal niejasne. Przyjechali do Europy, by zlikwidować potencjalnych spadkobierców. To jednak nie tłumaczy sprawy zamordowania człowieka w białych półbucikach.

— Ma pan rację — rzekł Engel. — Zgoda! Rzeczywiście nie tłumaczy.

Ale czego pan żąda ode mnie? Żeby dokonał anatomii chicagowskich gangów? Może kiedyś, tam, w Ameryce, sprawa się wyświekli.

— Tak... — mruknął Morawski. — Szkoda, że tego nie wiemy.

— Hipotezę swoją mam — rzekł Engel

i uśmiechnął się lekko. — To była rywalizacja! Dwie grupy zmierzały do tego samego celu, nie wiedząc jedna o drugiej... Przecież tu nie idzie o czyste, porządne pieniądze, proszę państwa. Zaciekła walka o łup po przedsięwzięciach Franka Zavady. Na tym wszystko polegało... Ten stary w Ameryce orientował się dobrze w sytuacji, skoro zachował

tajemnicę jak przy spowiedzi. Bał się, że do jego rodziny zgłosi się niewłaściwy człowiek i dlatego rozgrywał całą sprawę przy pomocy osobliwego biletu wizytowego...

— A gdzie jest ten właściwy człowiek, panie poruczniku? — zapytała Ewa.

— Zjawi się, może być pani pewna. Oni są bardzo skrupulatni w interesach. Dzisiaj otrzymaliśmy wiadomość z MSZ w tej sprawie... —

Przerwał, a po chwili powiedział. — Jeszcze muszę coś dodać.

Ewa spojrzała na niego z uwagą.

— Rzecz w tym, że pani stryj w Ameryce przeżył stryja Antoniego.

— Jak to? — zapytała zdumiona i zaskoczona.

— Franciszek Zawadowski umarł w dwa dni po zabójstwie stryja Antoniego na ulicy Floriańskiej.

— Nie rozumiem — powiedziała.

— Ten starzec za oceanem umierał dłu

go i rozpaczliwie. Ale pewni ludzie, którzy czekali na jego majątek, nie mieli czasu. Musieli uprzedzić wypadki. Zgładzić ewentualnych spadkobierców, zanim dotrze do nich właściwy człowiek, pełnomocnik Franka Zawady... Kiedy tamten dogorywał w szpitalu, zupełnie już bez-bronny — oni przeprawili się do Europy. Gdyby się im powiodło — nie byłoby już rodziny Zawadowskich przy życiu. Teraz tylko pani została. I ten cholerny spadek po Wielkim gangsterze z czasów prohibicji.

Zamilkł i spojrzał na Ewę. Leżała nieruchomo. Błada, znużona i smutna.

— Nie cieszy się pani? — spytał Engel.

— Nie — odparła bardzo cicho. — Może w przyszłości tak. Ale teraz weale nie... Rozumie mnie pan, poruczniku?

— Rozumiem — powiedział Engel i potarł czoło. — Dziwiłbym się, gdyby było inaczej.

XXX

Na podwórku panował głęboki, niemal mroczny cień. Tylko tuż przy bramie, wiodącej ku ulicy, zastygła plama słońca. W tym jasnym kręgu siedzieli na stercie drzewa opałowego dwaj chłopcy. Jeden z nich trzymał

w ręku mapę Wyspy Czterech Łotrów. Drugi powiedział z podnieceniem:

— Skarb musi być tam, gdzie narysowany jest krzyżyk...

—

No, pewnie — odrzekł właściciel mapy. — Tylko gdzie leży ta wyspa?